№ 40. Warszawa, dnia 20 Września (2 Października) 1886 roku.




Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*



## Z PODRÓŻY DO SYDNEJ

### stolicy kolonii angielskiej w Australii.

---

Otrzymaliśmy w tych dniach, list od pani Sabatowskiej, datowany z Sydnej, dnia 15 Lipca. Daliśmy już poznać w Tygodniku, osobistość korespondentki naszej, która miała odwagę, puścić się sama jedna, za dalekie morza, w świat antypodów, całkiem jej nieznany, gdzie ją powoływał głos serca, połączony z uczuciem obowiązku. Sądzimy więc, że list pisany jej ręką, obejmujący szczegóły z codziennego życia w Australii, nie będzie bez zajęcia dla Czytelniczek naszych.

*Seweryna Duchińska.*

---

Sydney to rozległe miasto, szeroko rozrzucone nad morską przystanią. Ulice główne tak w mieście jak na przedmieściach zapełnione sklepami. Są tu wspaniałe gmachy rządowe i publiczne ogrody w mieście, wielkie i bardzo starannie utrzymane. Na szczególną uwagę zasługuje ogród botaniczny nad Portem, ozdobiony naturalnemi, skałami. Znajdują się w nim pyszne drzewa, tak krajowe jak sprowadzone z rozmaitych stron świata, mimo że teraz mamy zimę, pełno w nim zieloności i kwiatów. Widziałam tu drzewo wielkości naszej średniej sosny, okryte różami w rozmaitych odcieniach, istny olbrzymi bukiet.

Muzeum tutejsze bogate w różne zbiory, galerya sztuk pięknych, zawiera wyborowe rzeźby i obrazy. Między innemi, uważałam piękne krajobrazy z okolic Fontainebleau. Zamek gubernatora łączy się z ogrodem botanicznym.

W lecie, które tu przypada około Bożego Narodzenia i Nowego roku, upały ogromne dokuczają. Posucha wtedy wielka, tumany kurzawy wznoszą się w powietrzu i przyćmiewają słońce, a ogromne ćmy komarów, gryzą bez miłosierdzia. W zimie za to nierównie przyjemniej.

Niektóre dnie tak ciepłe, że panie tutejsze chodzą po ulicy w letnich, a nawet w białych sukniach. Ta zimowa pogoda, przeplatana bywa, kilkodniowym deszczem i wiatrem, chłodnym jak u nas w jesieni. W takie dnie zapalamy ogień na kominkach, a tutejsze mieszkanki otulają się w rotundy, podbite futrem, w aksamitne albo pluszowe płaszcze.

Australki wogólności bardzo próżne i zamiłowane w strojach. Wychodząc na ulicę, kładą na siebie wszystko co mają najlepszego: aksamity, atłasy, koronki, różnobarwne wstążki, pióra, kwiaty i bižuterye. Dochodzą tu i mody paryzkie, ale nie każda z pań umie je właściwie zastosować. Przy tych wystrojonych lalkach, panowie jakoś niepokaźnie wyglądają.

Kobiety tutejsze, nawet służące niechcą kupować nic po sklepach, uważając to za jakieś ubliżenie. Wszystko też przynoszą tu do domu: chleb, mięso, mleko i inne przedmioty do życia. Kwarta mleka kosztuje sześć penny (30 centymów), jaja tymczasem bardzo drogie, od dwóch do trzech szylingów za tuzin i to trudno o świeże. Ja zaopatrzyłam się w kury, mam je nawet własnego chowu, więc jaj wystarcza na potrzebę domową. Cena mięsa nadzwyczaj nizka: funt baraniny po trzy lub cztery penny, funt wołowiny i cielęciny od czterech do sześciu. Jadają też tu mięso trzy razy na dzień. Do stołu służy za napój herbata albo woda, wino daje się tylko na wystawniejsze obiady. Ogrodowizną zasilają chińczycy. Oni to nietylko w Sydnej, ale prawie w całym kraju uprawiają ogrody. Lud w okolicach miasta mieszka ucywilizowany, dalsze strony dopiero, osiadłe przez czarnych tubylców.

Mąż jeździł na prowincyą, widział tam ową czarną ludność, poznał ich króla, zowią go *Kelly King of Bresvorna.* Jest to idyota i pijak. Mówią, że w Nowej Zelandyi lud bardziej rozwinięty i roztropny. Opowiadano mi, że raz jeden z mi-

nistrów angielskich przybył na miejsce, zwołał czarnych, aby do nich przemówić. Król przerwał mu niezłą angielszczyzną:

— No dobrze, mów, ale krótko i prawdę, nie kłam!

W tych dniach zmuszeni byliśmy odmienić mieszkanie, bo postawiono nam sklep przed samemi oknami i zasłonięto nietylko widok ale i światło. Nie żałujemy zmiany, gdyż teraźniejszy dom o wiele wygodniejszy. Z balkonu i okien mam widok na miasto, po prawej stronie na port, po lewej na zielone błonia. W oddali widać morze. Tu nie ma wielkich kamienic, podzielonych na apartamenta, ale domki większe lub mniejsze wynajmują się całe. Wszystkie prawie są jednopiętrowe, z balkonem czyli werendą, z ogródkiem, łazienką i pralnią.

Polskich rodzin jest tu zaledwie kilka. Służąca moja Polka, przybyła z księztwa poznańskiego z rodzicami, przed kilkunastu laty. Ojciec jej kowal, zarobił już trochę grosza, ma swój własny dom, ale że ma wiele dzieci, każde więc szuka na swoją rękę chleba. Mówiono mi, że jest w południowej Australii kolonia polska, złożona z kilkudziesięciu rodzin, do tego czasu jednak nie mogłam powziąć o niej żadnych bliższych szczegółów. Poznaliśmy jednego Polaka, który od trzydziestu pięciu lat zamieszkuje w Australii, odkrył on minę złota i choć posiada złote góry, jest obecnie prawie bez funduszu. Od dwóch lat toczy proces ze swym wspólnikiem, zachorował też biedak ze zmartwienia, leżał i kurował się u męża mego. Dziś już zdrów, ale prawdopodobnie zostanie u nas do ukończenia procesu. Adwokaci tutejsi uchodzą za wielkich krętaczy.

Wiele tu jest kościołów katolickich i świątyń innego wyznania. W kościołach ustawione ławki tak jak u nas w Warszawie. Katedra tutejsza wielka i piękna, dach jeszcze nie skończony. W dniu wielkanocnym podczas sumy, asystował arcybiskup-kardynał, ma on stałą rezydencyą w Sydnej. Człowiek to poważny, w średnim wieku, okazałej i miłej postaci. W dniu 8 Maja sam arcybiskup poświęcał klasztor panien Karmelitanek, przybyłych z Marsylii i osiadłych tu stale. Była wspaniała procesya: mnóstwo panien, w bieli, zasłoniętych welonami, niosło bukiety i kosze pełne kwiatów. Wielka moc ludu zgromadziła się na tę uroczystość.

Chowano też niedawno jednego ze straży ogniowej, który zmarł wskutek wypadku, gasząc pożar. Katafalk przystrojono bukietami i koronami z kwiatów. Podczas obrzędu, muzyka grała marsz pogrzebowy Szopena.

Wiele tu zachowało się zwyczajów i obyczajów europejskich. Święta i niedziele nadzwyczaj ściśle są obchodzone. Wszystkie sklepy zamknięte w dzień świąteczny, nawet z zapasami żywności. Tramwaje i pociągi kolei żelaznej zaczynają później cyrkulować niżeli w dzień powszedni. W każde święto popołudniu liczne tłumy zbierają się na wszystkich placach i placykach, których jest tu wiele, a niektóre ogromnych rozmiarów. Tworzą się grupy koło różnych towarzystw i kółek politycznych, odbywają się narady i konferencye w rozmaitych przedmiotach.

Obecnie dość trudno dorobić się tu majątku, gdyż za wiele jest doktorów, artystów i spekulantów wszelkiego rodzaju. Jedni chyba szynkarze, jak wszędzie tak i tu łatwiej i prędzej dorabiają się grosza, bo choć utworzono liczne towarzystwa wstrzemięźliwości, nałogowych pijaków pozostało jeszcze niemało.

Mąż mój dobrze już tłomaczy się angielskim językiem, ja zaś ledwie urywanemi słowy, poznaliśmy między innemi, jedenastoletnią dziewczynkę, gra ona na fortepianie trudne i wielkie sztuki z taką łatwością i talentem, jak niejedna z pierwszych artystek konserwatoryum paryzkiego. Patrząc doprawdy na tę wątłą istotkę, dziwimy się jej nadzwyczajnej sile: nauczycielką jej była starsza siostra, bardzo biegle grająca na skrzypcach. Są to córki byłego artysty, profesora muzyki.

W teatrze byłam na przedstawieniu Córki pani Ango, grano i śpiewano dobrze. Do teatru panie tutejsze bardzo się stroją. Zazwyczaj zdejmują kapelusze, panowie prawie wszyscy ukazują się we frakach.

Nie widać tu wogólności biedy, żebraków wcale nie ma. Łatwo też o robotę, gdyż miasto ciągle się upiększa, buduje nowe domy, potrzebuje zatem rąk do pracy. Niełatwo tu znaleźć dom do najęcia, ludność bowiem napływa bezustanku.

Zdarzył się niedawno okropny wypadek, statek pasażerski płynący z Melburn do Sydnej, uderzył o skałę i rozbił się, zaledwie piętnaście osób uciekło z życiem, siedmdziesiąt zaś utonęło. Nastąpiło to z niedbalstwa kapitana. Dopływając do portu w Sydnej, okręt spotyka mnóstwo większych i mniejszych skał i wysepek, kapitan tymczasem zamiast czuwać pilnie, położył się i zdał służbę na podrzędnego marynarza, nie dość obznajmionego z miejscowością. Ów kapitan ocalał jest dziś pod sądem. Surowa jak mówią spotkać go musi kara, ale czyż to wróci życie nieszczęśliwem ofiarom!

---

## Z tematów ludowych.

---

Szłam przez role, szłam przez pole,
Czy to czary, czy to traf,
Żem spotkała cię sokole,
Że mnie spotkał jaśnie graf.

Jechał, jechał z swą jedyną,
Z ukraińską swą grafiną,
Poprzez role, poprzez pole,
Na dalekie gdzieś Podole.
Jedź mój luby jedź.

Graf zapomniał swej kochanki
Graf zapomniał swej cyganki,
Moja dola taka czarna,
Moja dola taka marna,
Świeć miesiączku świeć,

Tam za stepy, tam za morza,
Gdzie jaśniejsza świeci zorza,
Leć mój luby leć.

Wietrzyk szumi biegnąc z lasku,
Kręci tuman w żółtym piasku,
Jedzie jedzie z swą jedyną,
A tu łzy mi z oczów płyną,
Jedź mój luby jedź!

Smutna, smutna moja dola,
Lecz się stała twoja wola,
Wkoło srebrne mgły,
A jak mgły te nad równiną,
Tak me łzy za tobą płyną,
Serce skradłeś ty.

Świeć miesiączku świeć!
Leć mój luby leć!
Sięgnie ciebie kara Boża,
Zginiesz w stepach jak wśród morza,
Jedź mój luby, jedź!

*Józef T........*

---

## MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

*Maryi Konopnickiej.*

---

(Dalszy ciąg.)

— A no, łęgiem chyba... pod Pławkami, a potem koło młyna.. najbliżej to, ale topiele, aż strach!

Uriel ruszył, wyprzedzając starą. W oczach mu migotały jeszcze czarne, to świecące płatki, szedł jednak śpiesząc; gdyby mógł, ptakiemby leciał.

W milczeniu szli. Stara zadychiwała się i kaszlała ciężko, kijem macając pewniejszego przejścia po mokradlach łężnych, po kępkach, gdzie rzucało się sitowie ostre i kostka. Jej chude, w łachmany owinięte stopy, przywykłe snać do drogi takiej, nie więcej znajdowały tu trudności, niż nogi czapli, żórawia lub bociana. Od chwili do chwili pomrukiwała ścicha; było to przywyknienie jej samotności.

Uriel szedł, nie oglądając się na nią. Powiew nocy rozrzucił mu poły długiego chałata i przynosił szum oddalony, z którym łączyła się jakby modlitwa.

Był to, zwykły o wiosennym nowiu, duet rzeki wezbranej całą pełnią wód swoich i starego Hersza, który dziwnie, przenikliwie wzywał dziś Jehowy o dotrzymanie dawno uczynionych obietnic, obietnic danych ojcom ojców jego.

Gwiazdy już poczynały gasnąć, kiedy stanęli u chatynki nędznej, przytulonej pod lasem, schowanej prawie pod gałęziami, jak gniazdo ptasie.

Przy chacie tej nie było nic zgoła. Ni grządki, ni płotka, ni studziennego żórawia, ni obórki jakiej, ni chlewika. Stała sama pod lasem, dumająca, zgarbiona, podporą pod lewy bok ujęta, z roztrzęsionym dachem i widocznem było po jej rozmiarach, że jedną tylko izbę mieściła w sobie. Ot nędza i tyle.

Opodal, gdzie rzedniał brzeg lasu, widać było bielejące chaty duże, szeregiem między kwitnącemi sadami stojące; to były Majdany leśne.

Psy trwożliwe oszczekneły się ztamtąd na podróżnych naszych, gorliwsze na drogę wybiegły, ale przycichły wkrótce; pod las nie poszedł żaden.

— Wejdźcież — mówiła stara, chatę otwierając z zaszczepki, gdy Uriel bez tchu prawie oparł się ciężko o pierwszy sośniak z brzegu — wejdźcie, chłopiec śpi pewno.

Jakoż spał.

Uriel potknąwszy się zrazu w ciemności, ujrzał przy rozdmuchanem przez starą łuczywie, najprzód chustę grubą, na ziemi przed kominkiem zwiniętą, a później śpiącego na niej chłopczynę. Rzuciło mu się w piersiach serce, jakby ukropem oblane...

starej z rąk kaganek chwycił i chłopcu przypatrywać się począł chciwie.

Dziecko było drobne, niezwykle piękne, z twarzyczką bladawą, ściągłą, na którą ciemne rzęsy u spuszczonych powiek, rzucały jakiś cień żałobny, sierocy. Brudne było, zaniedbane, głodne może. Bose nożyny zimne były, twarzyczka szczupła bardzo, oczęta, jakby nabrzmiałe po niedawnym płaczu.

Uriel poruszył ustami niewyraźnie, jakby mówić chciał, czy całować, nagle schylił się, chwycił dziecko w ramiona, chałatem go swoim okrył, a rzuciwszy starej pieniądze, jakie miał, wybiegł z chaty nieoglądając się nawet.

W pierwszej tej chwili nie obliczał się z niczem. To drobne ciałko dziecięce przytulone do jego odkrytej piersi, senne, oddane mu zupełnie, przejmowało go dreszczem nieznanej dotychczas rozkoszy.

Olśniony jakby, niepatrząc drogi biegł i dopiero przed samą farbiarnią oprzytomniał nieco, usłyszawszy głośne chrapanie parobka pod szopą.

Przyszło mu na myśl, co ludziom powie?

Do dziecka tego, bądź co bądź, głośno przyznać się nie mógł; miał żonę, krewnych.

Lecz wyrzec się go, było też już teraz nad siły jego. Przed kilkoma godzinami wprawdzie, nie wiedział o jego istnieniu, lecz teraz, gdy je tak długo, tak gorąco tulił w ramionach, gdy czuł oddech jego, równy, leciuchny oddech, muskający mu twarz pałającą, teraz kochał je.

Uścisk jeden zbliżył te dwie istoty rozdzielone wszystkiemi prawami świata.

Pod oczyma Boga, w ciszy tej samotnej nocy, Uriel uczuł je swojem; nie mógł go już oddać nikomu.

Wszedł ostrożnie do izby; dziecko na posłaniu złożył i przypadłszy twarzą do poduszek, łkał namiętnie, oddany na pastwę wspomnień, pragnień i beznadziejnych żalów.

Chłopczyna rzucił się we śnie, a na piersiach niezakrytych grubą koszuliną, błysnął mały mosiężny krzyżyk. Dziecko było chrześcianinem.

Nazajutrz kosooki parobek jął złośliwie przypatrywać się chłopcu.

— A wam zkąd ten chuchrak?

— Sierota.

Nie kłamał; dziecko to było straszliwym sierotą; sierotą bez praw, bez opieki, bez imienia.

Franek nie poprzestał na tem.

— Toż i sieroty nie rosną jak grzyby po deszczu, a deszczu dziś w nocy nawet nie było.

Uriel zmilczał. Zbroił się w cierpliwość, czuł że to pierwsza dopiero zaczepka, że więcej takich odpierać mu przyjdzie i postanowił sobie bronić się tem jednem słowem: sierota.

Chłopczyna tymczasem otworzył wielkie swoje czarne oczy i przypatrując się obcym, skrzywił do płaczu usteczka, powtarzając żałośnie:

— Babusia! babusia! ja chcę do babusi!

Rudy Franek nie odstępował od dziecka. Trochę się domyślał, trochę przypominał; złośliwym też był tak, że i bez widoków żadnych, dręczyć lubił a drażnić.

— A gdzież babusia twoja? — pytał chłopczyny.

— A w lesie.

— Ii... to pewno jaka stara sowa.

— Nie sowa, nie! ino babusia!

— A gdzież matusia twoja?

— Nie ma matusi, ino babusia.

— A tatuś?

— Nie ma tatusia...

Dziecko płakało.

— Głupiś, patrz ino dobrze, to zobaczysz tatusia.

Chłopczyna spoglądał wokoło, i silniej płakać zaczynał.

— A jak ci na imię, pędraku?

— Michałek — odpowiadał malec.

— A może tobie Mosiek? — dogadywał Franek z brzydkim uśmiechem.

Uriela drażniło to niezmiernie.

Myślał, przemyśliwał, jakąby tu obronę chłopcu dać i nic wymyślić nie mógł.

Bądź co bądź, postanowił, że z dzieckiem nie rozstanie się nigdy.

Liczył na to, że z czasem ludzie przyzwyczają się widzieć tego sierotę pod jego dachem; milczeniem i cierpliwością, najzaciętszych przejednać się spodziewał. Tak minęło dni kilka.

Chłopczyna coraz rzadziej płakał, wspominając babusię, coraz częściej uśmiechał się do tego bladego mężczyzny, który go na ręce brał, huśtał, piernikami i mlekiem karmił i tak gorąco całował. Było mu tu lepiej, cieplej niż w lesie, nie bywał głodny, a do zabawy miał kłębek kolorowej wełny, którym ciskał po izbie dzień cały, śmiejąc się i szczebiocząc jak wróbel.

Gdy Uriel do umierającego ojca pośpieszał, nie był pewnym, czy pozostanie tu już i obejmie farbiarnię na siebie, czy też sprzeda ją i powróci do rodziców żony.

Odszukanie chłopca rozstrzygnęło tę wątpliwość. Śmielszym, silniejszym czuł się Uriel tu, gdzie miał dziedzictwo własne.

Postanowił pozostać.

Przygarnąć dziecinę tę, opiekę jej dać, mógł tylko tutaj. Trzeba jednak było rozmówić się z teściami i sprowadzić żonę. Pomyślał, że im prędzej to zrobi, tem lepiej się stanie. Pilno mu teraz było wyjść z dotychczasowej apatyi i stawić czoło burzy, jaka go prawdopodobnie czekała.

Z wieczora też zaraz zawołał Franka, zbierając się do drogi.

— Jadę na noc, domu mi tu pilnuj i dziecka — rzekł krótko.

Frankowi nie podobały się te polecenia.

— Wilk go nie porwie, a jeśli się boicie, to je weźcie z sobą, pokażecie żonie — mówił drwiąco.

Urielowi oczy błysnęły; chwytał go gniew. Przemógł się jednak, w milczeniu na wózek wsiadł i ruszył tą samą drogą, którą niegdyś stary Goebel, lamentując wśród nocnej ciszy przebywał.

* * *

W kilka dni potem gwarno było przed farbiarnią. Uriel przywiózł żonę.

Była to kobieta starsza od niego, niepiękna, śniada, z szybko biegającemi czarnemi oczami, które zdradzały wiele chciwości i sprytu.

Mówiła dużo, z gestykulacyą zapalczywą, w której znać było nawyknienia kramu, gdzie przez lat kilka wyręczała matkę, ujadając się o każdy grosz z kupującemi.

Mowa jej posiadała dziwną obfitość określników improwizowanych na prędce, chwytanych w powietrzu, któremi zasypywała męża, furmana i parobka, wydając polecenia różne.

Od chwili, kiedy postawiła dużą swą płaską nogę na progu domu tego, znać było, że obejmie go w posiadanie wyłączne, że będzie tu panią.

Uriel ze swoją postawą szczupłą i pochyloną cokolwiek, z twarzą bladą i nieruchomą, jak cień snuł się w milczeniu. Przy tej kobiecie zbudowanej silnie i rozwiniętej okazale wyglądał na wyrostka niemal.

Znoszono kufry, przestawiano sprzęty; nowa gospodyni opatrywała rzecz każdą.

Nawinął się Michałek.

— Czyje to? — rzuciła Hana.

Franek uśmiechnął się.

— Nie wiem, majster wiedzą.

— Sierota — pochwycił Uriel.

— Jaka sierota?

— Z drogi podjąłem; podziać się nie ma gdzie.

— Nu, ludziom go dać.

— Bułką się na dzień wyżywi, pod szopą sypia, smutno tak samym.

Hana błysnęła okiem.

— Jakto samym? co to samym? czemu to ma być samym? co to takie rzeczy gadać?

Mówiła, oddychając szybko; znać kwestya ta wprawiała ją w rozdraźnienie.

Uriel spuścił głowę, czuł się winowajcą, milczał.

Hanę rozbroiła pokora męża; zawołała chłopca i dała mu obwarzanek.

— Jak tobie imię? — spytała.

— Michałek.

— Wie?

Uriel stał jak na rozpalonych węglach.

Hana otwarła usta, nabierając tchu do jakiegoś gwałtownego zarzutu, gdy wtem, z samego wierzchołka wysoko wyładowanej bryki spadło ogromne pudło, a z niego posypały się czepce z kwiatami i jaskrawemi wstęgami.

— Herr Got! — krzyknęła Hana, uderzając w obie dłonie i jednym skokiem rzuciła się na ratunek drogocennych strojów, których przeznaczeniem było przyprawić o zazdrość wszystkie elegantki miejscowe.

Burza chwilowo zażegnaną była, zdawało się, że wszystko ułoży się szczęśliwie.

Hana zajęta rozpakowaniem swoich rupieci, nie zapytała już o Michałka, którego też Uriel przezornie usunął jej z oczu, uśpiwszy wcześnie pod szopą na sianie.

Nazajutrz, w gorączce instalacyi, młoda pani mniej zważała na plączące się koło domu chłopię, raz nawet zagadnęła je łaskawie, pytając, czy nie głodne.

Uriel spojrzał i znalazł ją w tej chwili piękną prawie.

Wieczorem zakłopotała się Hana o dziecko, gdzie spać będzie?

— Pod szopą.

— W stancyi miejsca dość, na kufrze spaćby mógł.

Uriel zarumienił się mocno.

Noc poprzednia przeszła mu bezsennie. Tonąc w betach pod sufit niemal wysłanych, myślał o tem chłopięciu śpiącem pod szopą i przewracał się z boku na bok. Na piersiachby je tulić rad i na rękach do snu kołysać.

To też przed świtem jeszcze zerwał się, tłomacząc żonie, że do koni zajrzy. Pobiegł do szopy. Chłopczyna spał. Uriel pochylił się nad nim i gorącym pocałunkiem zamknął jego piękne, wpół otwarte usteczka, przypominające usta matki.

Potem stanął i zamyślił się.

— Do hedery go nie poszlę — szepnął. — Jeśli mu tu źle będzie, jemu i mnie, to wezmę go i w świat pójdę — szepnął znowu.

Była to jakby obietnica dana niewidzialnej istocie jakiejś, czuwającej nad sierotą. Ilekroć bowiem był z chłopcem sam, zdawało mu się, że czu-

je jej obecność. Przejmowała go wtedy niewymowna słodycz tajemniczego porozumienia we troje. Twarz mu się ożywiała, oczy nabierały wyrazu łagodności niezmiernej, po ustach błądziły uśmiechy i urywane słowa.

Lecz gdy posłyszał głos Hany, gasnął niejako sam w sobie i powracał do powszedniości oblicza.

Gdy zamęt pierwszych dni po przybyciu Hany przeminął, na farbiarni rozpoczęło się życie pracowite, pełne zabiegów, w które żona Uriela całą swą wkładała duszę.

Od rana do nocy można ją było widzieć kręcącą się to po miasteczku, gdzie wełnę zamawiała, odnosiła, przedawała, to po domu, gdzie zwijała pasma jaskrawe na wielkiem motowidle, lub warzyła posiłek. Do dziecka przywykła jakoś. Kilka jeszcze razy zapytywała o nie męża, ale młody człowiek miał na ustach tę jednę tylko odpowiedź: sierota.

Zabiegi Hany nie były daremne, farbiarnia rozwijała się widocznie a w wielkiej skrzyni, stojącej w głowach małżeńskiego łoża, nie jeden srebrny talar leżał, czekając dziedzica.

Dziedzic jednak nie przybywał.

Jedynem też zmartwieniem Hany było to, że dzieci nie miała.

Tak przeszło lat sześć.

W miasteczku, w miarę jak chłopiec rósł zaczęło się przejawiać pewne zaciekawienie się nim.

To dziecko ochrzczone, które przebywało w żydowskiej rodzinie, nie dawało spać kumoszkom.

Widywano chłopca w kościele, to prawda, ale wiedziano także, iż razem z opiekunami swojemi obchodzi szabas. To było dziwne, potworne, oburzające.

Szepty, ciche z razu, zaczęły krążyć śmielej, głośniej, zuchwalej coraz... niejedno słówko dobiegło aż do uszu Hany, w której zaczęła się budzić jakaś skryta niechęć dla tego chrześciańskiego sieroty, który miał przejrzyste, podłużne oczy jej męża.

A kiedy chłopiec doszedł lat dziesięciu i gdy wcześnie ustalające się rysy jego żywo przypomniały piękną Kasię, szepty zmieniły się w urągania głośne, a chłopca zwać zaczęto: Michał Duniak.

Ile w tem wszystkiem było roboty tajemnej Franka, trudno było orzec. Parobek w dzień pracował, a wieczorem znikał z farbiarni i nieraz świtem dopiero powracał. Widywano go w miasteczku w brudnych szynkowniach, gdzie nierozłącznym towarzyszem jego był od jakiegoś czasu Mowsza.

Kto to był Mowsza? czem się trudnił? z czego żył? niełatwo byłoby nam odpowiedzieć na to.

Wiedziano powszechnie, że Mowsza ze szwarcownikami za rzeką się schodził, że po ustronnych karczmach z włóczęgami się zmawiał, że konszachty jakieś prowadził.

Uczciwi żydzi w miasteczku jawną mu okazywali wzgardę, zarzucano mu czyny haniebne, w synagodze pokazać się nie śmiał.

Sama już powierzchowność jego złą była dla niego rekomendacyą.

Twarz jego brudnej i niezdrowej cery, nadzwyczaj była ruchliwa. Raz zdawała się czaić, jak zwierzę, zwinięta w tysiąc zmarszczek skrzyżowanych na niej burzliwie i maskujących jej rysy, to znów występowała wypukło, bezczelnie, z świecącemi się policzkami, rozlana jakaś, pełna moralnego nieładu. Ręce jego długie, haczykowate, drżące, podrzucane gestykulacyą ohydną, zdawały się czyhać na coś, jak szpony drapieżnego ptaka. Człowiek ten, wnętrze swoje na wierzchu nosił i sprawiał wrażenie nad wyraz wstrętne.

Franek jednak, czy potrzebował go, czy też nie był zdolnym do subtelniejszych wrażeń, przylgnął jakoś do Mowszy, trawiąc z nim co dnia prawie, długie godziny w brudnym jakim zaułku i szeptem a gestem porozumiewając się z nowym przyjacielem.

Tymczasem kahał miasteczka niemniej poruszony był sprawą Michałka. Domyślano się wiele, pewnego jednak nie było nic, Uriel zaczepiany podnosił ramiona i odpowiadał krótko: sierota.

Tu jednak ciekawość całkiem inny przybrała charakter.

Kumoszki szeptały, uśmiechały się złośliwie, gorszyły, ale niemniej za serce je chwytała ta ojcowska opieka, jaką farbiarz otaczał chłopca.

W kahale przeciwnie, ciekawość ta przeradzała się w miarę zyskiwania podstaw, w jakąś inkwizytorską zaciętość. W tem zagorzałem, fanatycznem gronie, fakt istnienia Michałka uważany był za jakąś osobliwą zbrodnię, za jakąś anomalią potworną, którą należało bądź co bądź zgładzić, zniszczyć, zatrzeć bez śladu.

Zaczęły się tedy napastliwe wycieczki przeciw Urielowi. Farbiarz znosił je cierpliwie. Miłość jego dla chłopca tak wielką była, że rozkosz jej opłacała mu sowicie doznawane przykrości i zniewagi.

Czuł jednak, że ta siła, która przeciw niemu i chłopcu powstaje, potężną jest i drżał na myśl, że zgnieść może dziecko. Zaczęły się dla niego dnie niespokojne i noce bezsenne. Myślał jakby tę burzę zażegnać, nie rozłączając się z chłopcem. W domu też, cichym dotąd, zaczęły się swary, wymówki, podejrzenia...

Hana jakby ulegając jakimś podmuchom nienawiści, patrzyć nie mogła na sierotę. Mściła się na nim za smutną zadumę, z jaką Uriel poglądał w dal, jakby w przeszłość zamgloną, za milczenie, które go odosobniało od niej, za to może nawet, że dzieci dotąd nie miała. Chłopiec zdawał jej się być żywą zaporą pomiędzy nią a mężem. Zaczęła go też prześladować z całą zaciętością kobiety zazdrosnej, namiętnej.

Dziecko pomizerniało, pobladło, zrobiło się milczące, dzikie. Uriel ukradkiem chwytał je w ramiona i całował i pieścił, bolało go to jednak niezmiernie, że taić się musiał. Oczy jego zapadły, postać pochyliła się, postarzał. Widocznem było, że całe to, tak naprężone położenie, doprowadzić musi do rychłego wybuchu. Drżał i chwytał się za głowę, patrząc poważnym wzrokiem na zapadłą chatę Duniaka, z której, w miesięczne noce zdawały się dolatywać skargi jakieś i płacze.

Tymczasem wytężona uwaga kahału, zwróciła się od farbiarni w inną całkiem stronę.

Do miasteczka przybywał nowy rabin, który miał sławę cudotwórczej niemal świętości.

Żydzi od zmysłów prawie odchodzili z uwielbienia; mężczyzni gromadami chodzili po ulicach w odświętnych chałatach, jakby na uroczystość jaką; kobiety warzyły rybę i makaron jak na szabas.

Chorzy, kalecy, nędzarze, procesyą oblegli drzwi uczonego rabina, szukając porady i pomocy.

Rabin mało kogo do siebie dopuszczał i całe dnie modlił się w milczeniu i w poście, a od drzwi jego chorzy i smutni odchodzili błogosławiąc go, wskrzeszeni na duchu, ufni, pełni nadziei.

Wiara uzdrawiała tu jeszcze całą swą potęgą.

Wieści o uczonym rabinie wstrząsnęły duszą Hany, dawne nadzieje w niej ożyły, ona pójdzie i prosić go będzie o modlitwę za sobą, a Bóg da jej synów i córki, któreby chować i wyposażać mogła.

Wierzyła, iż się tak stać musi, bo i dlaczegóż staćby się nie miało? Większe, dziwniejsze cuda opowiadano sobie z powodu nowego rabina.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# TEODORA

## KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

---

## AKT TRZECI.

(Dalszy ciąg.)

TEODORA (stojąc z boku przy portyerze). Przejdź pierwszy. (Filip wchodzi pod sklepienie. Teodora pochwyciwszy młot wiszący od gonda, uderzyła nim raz. Zanim Filip zdołał się cofnąć choćby jeden krok, ktoś, niewidzialny zarzuca mu płaszcz na głowę. Portyera opada, słychać odgłos ciężkich i przyspieszonych kroków i ścierających się broni. Teodora ukrywając twarz w fałdach portyery, nachyla się nasłuchując niespokojnie.) Odgłos przycichł. Już go uprowadzili! (podnosząc głowę.) Usunęłam więc słabą gałązkę, nie wahającą się wyzywać burzy naszego gniewu. (Odsuwając się nieco od portyery.) Kroki się oddalają, cisza do koła. (Z ruchem nagłego przestrachu.) Czyżby go zabili?... ale nie, nie odważyliby się na to. (Przybliżając się więcej.) Nie śmiem... straszne jest to milczenie! (Przerażona przysuwa się do portyery, unosi ją i cofa się zobaczywszy czarną twarz Ebala, stojącego przy wejściu do korytarza; oparty on jest na swojem błyszczącym toporze. Nieco w oddali widać klęczącego Filipa, z głową osłoniętą płaszczem. Otaczają go Nubijczykowie i Narses. Murzyn olbrzymiego wzrostu, z obnażonym mieczem w ręku, ma już ugodzić w niego. Sinawe światło oświetla ponuro tę straszną grupę, którą ciemność panująca w tajemnem przejściu uwydatnia jeszcze. Ebal milcząc podnosi swój topór.) Nie!... (Z ruchem przerażenia.) Waszem życiem odpowiecie mi wszyscy za jego życie! (Portyera wysuwa jej się z rąk i zaslania wejście do przejścia. Teodora zwraca ku widzom twarz pokrytą śmiertelną bladością.) Nie, on nie powinien umierać!... (Przechodzi scenę i zatrzymuje się niezdecydowana.) A jednak z jego śmiercią zamarłyby moje obawy... Zapominam przestróg Miriam. (Przechodząc scenę i rzucając okiem na podarte papiery.) Oto co Kreon poważył się mi napisać... O! tak, litość byłaby szaleństwem... chłopiec ten musi umrzeć. (Prędko przebiega scenę i chwyta młot gonga. Podnosi go dwukrotnie i za każdym razem waha się uderzyć.) Nie mam odwagi, Kreon umiał wybrać posłannika... Gdyby syn mój żył byłby w wieku Filipa. (Już ma uderzyć

i znów wstrzymuje się przerażona.) Nie!... nie śmiem brak mi odwagi!... (Młotek wysuwa jej się z ręki, blada i bezsilna opiera się czyli raczej opada na ścianę. W tymże czasie, muzyka dotąd zaledwie dająca się dosłyszeć, dochodzi wyraźniej. Z początku Teodora dostaje jakiegoś nieokreślonego, jakby sennego wrażenia, ale nagle pojmuje niebezpieczeństwo swego położenia i prostuje się z głuchym okrzykiem.) Nie moja to, ale Kreona wina! (Chwyta za młot i już ma uderzyć, gdy wtem zasłony rozsuwają się nagle i ukazuje się Leon z dworzanami: muzyka gra coraz głośniej, wesoły orszak schodzi schodami w głębi.)

LEON (z głębokim ukłonem). Cesarz przybywa do w. c. mości.

TEODORA (spuściwszy cicho młotek, siłą woli przybiera postawę spokojną i pełną godności). Oczekujemy najjaśniejszego pana! (Do siebie, podczas gdy dworzanie składają głębokie ukłony.) A! jak gwałtownie bije mi serce, miotane niepewnością i obawą! (Zatrzymując się nagle, spogląda ku tajnemu przejściu i z przytłumionym krzykiem, przyciska serce.) Tak, to przestrach, nie wiem co go budzi, ale to przestrach.

(Widać cesarza schodzącego ze schodów marmurowych wraz z dworzanami, przy szmerze pomieszanych głosów i wesołej muzyki.)

---

## AKT CZWARTY.

### Bunt.

(Wielka pałacowa sala obrad w Bizancyum. Pod baldachimem tron cesarski, z jednem siedzeniem, wyniesiony na kilku stopniach. Jedne drzwi sceny otwierają się na taras z którego widać Bosfor i wybrzeża Azyi. W rogu drzwi, zasłonięte portierami. Dekoracye powinny odznaczać się królewskim przepychem. Za podniesieniem kortyny, Justynian siedzi na tronie, otoczony przybocznymi radzcami, inni stoją przy oknach lub rozproszeni na tarasie. Zdala dochodzą dzikie krzyki, wołania i odgłos zbrojnej walki. Dokoła panuje zamieszanie i przestrach.)

### SCENA I.

1 szy DWORZANIN (bardzo przerażony wbiega z tarasu). Bunt podniesiono, przedmieście Wschodnie w płomieniach, podpalono także dzielnicę kupiecką.

2-gi DWORZANIN (mówi z tarasu). Wojsko nasze cofa się wszędzie. Zdrajca Kreon staje na czele ludu, wraz z przyjacielem swoim Hieraxem. (Wchodząc na scenę.) Buntownicy zajęli przejścia do pałacu (wielka wrzawa) rozpoczynają szturm do bram.

(Portyery się rozsuwają, Leon blady i prawie bez tchu wpada do sali z obnażonym mieczem; ubiór jego w nieładzie. Postawa obecnych zdradza palącą ciekawość. Na znak cesarza, który powstał z tronu, Leon zatrzymuje się i przyklęka.)

LEON. Przebacz, naj. panie, że wpadam tak nagle, ale... (Waha się.)

JUSTYNIAN (niecierpliwie). Nie czas teraz na ceremoniał. Leonie, mów zkąd przychodzisz.

LEON. Z arsenału. Przebrany wsunąłem się w szeregi buntowników i słyszałem jak Kreon mówił, aby podpalić wszystkie dzielnice miasta. (Ogólne przerażenie.)

JUSTYNIAN. Mów dalej.

LEON (wahając się). Nie śmiem. (Justynian okazuje zniecierpliwienie.) Wszyscy się łączą z Kreonem. Straże nawet sprzyjają mu i pomagają, jedyną słabą zaporę między w. c. mością a wrogami jego, stanowi nieliczna gwardya cesarska. (Wrzawa zwiększa się dokoła.)

DWORZANIE (otaczając tron). Uciekaj naj. panie.

JUSTYNIAN (powstrzymując ich skinieniem). Czytam w oczach twoich, Leonie, że nie wszystko jeszcze powiedziałeś.

LEON. Czyż niewolnik twój, naj. panie, może mówić bez obawy o życie swoje? (Justynian skinął potwierdzając głową.) Oto przed tłumnie natłoczonym hippodromem, Kreon ogłosił Hipatiusa cesarzem.

JUSTYNIAN (z gniewem). To fałsz! znieważasz swego monarchę i władzcę. (Powstrzymuje się widząc, że Leon przerażony cofa się i pada na kolana. Ogólny popłoch. Wchodzi oficer gwardyi cesarskiej.)

JUSTYNIAN. Z czem przychodzisz?

OFICER (przysuwając się aż do tronu). Kreon zajął już przebojem dziedziniec zewnętrzny i grozi, że podpali pałac jeżli mu nie oddadzą jego syna.

JUSTYNIAN. Jego syna?

OFICER. Powiada, że został uwięziony w tajemnem więzieniu pałacowem.

JUSTYNIAN. Oszalał! nigdy nie słyszałem o podobnym więźniu. (Coraz większy zgiełk, wrzawa i ogólne przerażenie.)

DORADZCY (otaczając tron). Uciekaj, naj. panie, uciekaj, osoba twoja nie jest tu bezpieczną.

(Justynian, pokonany ich błaganiem i ogólnem przerażeniem, stoi blady i wahający i chce już schodzić z tronu, gdy wtem wpada do sali Teodora, w uroczystym stroju cesarskim, z koroną na głowie; za nią idzie Atalaryk i gromada Gotów. Ostatni mają ręce obnażone do ramion, na sobie pancerze i płaszcze ze skór lamparcich. Zatrzymali się przy wejściu w ściśniętym szeregu. Atalaryk stoi nieruchomy jak posąg, z odkrytą głową, wsparty na swym ogromnym toporze. Zaniepokojony tłum dworzan cofa się po za stopnie tronu, kornie schylając głowy; Teodora roztrąca ich przechodząc i zatrzymując się przed, Justynianem lekko tylko pochyla głowę.)

JUSTYNIAN. Witaj nam, Teodoro. Właśnie mieliśmy prosić abyś przyszła i uciekła wraz ze mną.

TEODORA. Uciekać? (Dumnie podnosząc głowę.) Gdyby nawet ucieczka stanowiła jedyny nasz środek ratunku, nie poniżyłabym się do niej.

JUSTYNIAN. Teodoro!

TEODORA. Jeźli postanowiłeś uciekać, masz skarby, masz okręta (wyciągając rękę) a tam wolne jeszcze morze roztacza swe fale. Co do mnie, trzymam się starego przysłowia, opiewającego, że tron jest chlubnym grobem.

JUSTYNIAN. Mowa w. c. mości jest śmiała ale nie przezorna i rozsądna. Czyż słowami można uspokoić to rozhukane morze buntu, którego rozwścieczone fale uderzają w tej chwili o mury naszego pałacu? (Wrzawa.) Czy słyszysz, Teodoro? Potwór łaknie swej zdobyczy, niebezpieczeństwo się zbliża.

TEODORA (która zwróciła się ku tarasowi, odwraca się z niewysłowioną pogardą). A więc czekajmy na nie, to jedyna rada jaką dać mogą męztwem tchnące usta.

JUSTYNIAN. Zła to rada i tylko marnie czas tracimy. To niebezpieczeństwo o jakiem tak pogardliwie się wyrażasz, nie gdzieś z oddali ale tuż nam zagraża, możemy już tylko wybierać między wygnaniem a śmiercią.

TEODORA (z gwałtownym ruchem). Rozwagi i spokoju, Justynianie. Czyż nie wiesz, że wygnanie jest śmiercią króli?

JUSTYNIAN (zamierzając zejść z tronu). Ja chcę uciekać ztąd, Teodoro.

TEODORA (z wybuchem gniewu). A więc uciekaj! Stań się najnędzniejszą pod słońcem istotą, strąconym z tronu monarchą! Żyj, jeźli jest to żyć gdy się jest przedmiotem litości najostatniejszego niewolnika, gdy ścigany przez prześladowców, zmuszony będziesz szukać schronienia w ubogiej jego lepiance. Żyj aby ściągnąć na siebie hańbę jako ten co posiadał wszystko, prócz odwagi dozwalającej wszystko utrzymać i zachować. Żyj jak widmo bez ciała. Obdarzony wszelkiemi monarszemi przymiotami, wyjąwszy największego, prawdziwie królewskiego (tu głos jej podnoszący się stopniowo, dochodzi do największej pogardy) męztwa, aby upaść zaszczytnie i umieć umrzeć szlachetnie!

JUSTYNIAN (zstępując z pierwszych stopni tronu). To istne szaleństwo!

TEODORA (prostując się dumnie). Co do mnie, jestem cesarzową i poddaję się cierpieniu jako karze za tę wielkość.

JUSTYNIAN. Zapominasz, Teodoro...

TEODORA (podeszła do tronu i przeszła pierwsze jego stopnie, podczas gdy Justynian zatrzymuje się niepewny). Kaprys twój wyniósł mnie i uczynił czem jestem, otóż pamięć na to dodaje mi sił do utrzymania cię na zajmowanem stanowisku. (Z dumnym, prawdziwie monarszym ruchem.) Teraz ja z kolei podtrzymuję nad głową twoją dyadem cesarski, a trzymam ręką nieznającą strachu ani trwogi. Ale strzeż się, Cezarze, bo gdybym ją usunęła (z wybuchem pogardliwego śmiechu) przygniótłby cię swym ciężarem.

(Zgiełk i wrzawa się zwiększa, słychać wyraźnie okrzyk Kreona.)

KREON. Śmierć cesarzowej! śmierć Teodorze!

JUSTYNIAN (zstępując z tronu). Czy słyszysz, Teodoro? Zniecierpliwieni, krwi się domagają!

(Gdy Justynian schodzi z tronu, Teodora wstępuje na ostatni schód jego.)

TEODORA. Postanowienie moje jest stanowcze, co do ciebie, Justynianie, uchodź, na wybrzeżach Azyi będziesz bezpieczny.

JUSTYNIAN (błagająco). Ucieczka jest jeszcze tak łatwą.

TEODORA (z wyniosłą pogardą). Ale śmierć łatwiejszą jeszcze. (Unosi szatę i wstępuje powoli na stopnie tronu. Tam zatrzymuje się i wsparłszy rękę na tronie, zwraca się ku Justynianowi. Leon i doradzcy stoją na dole i zdjęci przerażeniem rozmawiają cichym głosem. Od zewnątrz słychać okrzyki tłumu: Kreon! Kreon! Śmierć cesarzowej! śmierć Teodorze!) Justynianie, ten tron, który ty opuszczasz będzie moim grobem, a purpura której się boisz, moim całunem.

JUSTYNIAN (postępuje kilka kroków na scenie i zatrzymuje się niespokojny, słysząc coraz gwałtowniejsze krzyki). Teodoro! Teodoro! śmierć czycha u drzwi naszych.

TEODORA (rozkazująco, siadając na tronie). A więc uciekaj! Ja oczekiwać jej będę w koronie na głowie, jak królowa oczekująca innej władczyni.

(Słowa te silne wrażenie wywarły na dworzan, wzruszonych tak wielką jej odwagą. Robi się ruch między żołnierzami stojącymi przy wejściu, który Atalaryk uspokaja niezwłocznie.)

JUSTYNIAN (nabierając odwagi). Nie uciekam, nie waham się... Kobieto posiadająca serce lwa, z tobą na wszystko narazić się mogę, bez ciebie jestem niczem.

TEODORA (podnosząc się). Teraz poznaję w tobie cesarza Justyniania. (Idzie ku Atalarykowi, który postąpił kilka kroków naprzód.) Odejdźcie i powiedz swoim rodakom, że Konstantynopol ma jeszcze cesarza.

(Atalaryk z kornem posłuszeństwem zakłada topór na ramię i wraca do swych żołnierzy, którzy przyklękając na jedno kolano, składają pokłon przed tronem; jednocześnie na skinienie Atalaryka ciężkie podwoje zostały zamknięte. Teodora i dworzanie, którzy podnieceni zapałem dobyli szpady z pochew, grupują się na scenie. Justynian wraca zająć miejsce na tronie, Teodora siada na jego stopniu, dworzanie otaczają ich. Zewnątrz zgiełk, wrzaski, krzyki dosięgają najwyższego stopnia. Zasłona spada.)

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

## Z KRAINY GWIAZD.

### Obraz Henryka Aleksandra Zientarskiego.

Przed dwoma blizko tygodniami, w sali ratuszowej urządzoną została wystawa obrazu zatytułowanego: *Z krainy gwiazd.* Pisma codzienne poprzestając na podaniu wiadomości o jej otwarciu, zrobiły to z pewnem szyderstwem, że obraz za mały na tak wielką wystawę, że więcej w nim dodatków w przestroju jak przymiotów artycznych, a wad pełno w rysunku.

Nie podlega wątpliwości, że są niedokładności w wykonaniu obu postaci, kobiety i dziecka, całość obrazu stanowiących, ale nie tak znów wielkie aby je wyłącznie wytykać z pomijaniem głównej treści kompozycyi. Nie część bowiem kobiecej postaci stanowi ją ani biodro lub długość nóg, ani też aniołek w oświetleniu na dole pomieszczony, ale wrażenie odbite na licach fantastycznej podróżniczki po krainie gwiazd, z jakiem spływa ku ziemi. Temu w rozpatrzeniu krytycznem należało pierwszeństwo, a błędom rysunku wzmianka na końcu przeglądu. Zrobiono jednak przeciwnie, błędy najprzód wytknięto a główną treść pominięto milczeniem.

Kiedy p. Stempkowski wybudował w podwórzu przy swojem handlu, altanę ładnie urządzoną, w której w dniu otwarcia, sproszeni goście różnych smakołyków i delikatesów zjedli i wypili za tysiąc przeszło rubli, to przez tydzień potem blizko pisma codzienne brzmiały hymnem pochwalnym dla nowo postawionej altany nazwanej Oazą, jako dla dzieła godnego nieśmiertelności i przekazania pamięci następnych pokoleń

Reklama choć kosztowna, była jednak bardzo zręcznie i smakowicie urządzoną: nie potępiamy jej wcale. Każdemu wolno ją uzyskiwać środkami własnego obmyślenia. Pan Zientarski nie zwrócił na to uwagi, to też...

A jednak praca ta nie zdumiewa wielkością płótna, ani gromadą natłoczonych postaci, ale wpatrzywszy się w nią, pociąga i zajmuje. Treść bardzo fantastyczna.

Wśród nocy na ciemnem tle nieba zasianem gwiazdami, unosi się niewieścia postać wprost do widzów zwrócona. Trzyma nad sobą prawą rękę przy ramieniu pokrytą zwojem włosów kruczej barwy, czarną gazową osłonę, a lewą ma nad głową jakby dla osłonienia ócz od blasku światła z dołu bijącego. Postać tę zupełnie obnażona, w niektórych tylko miejscach jest okryta pół cieniem spływającym na nią z przezroczystej osłony. Mimo tego ciało znać dokładnie, a osłona spadając pod nogi postaci, fałdując się tworzy księżyc, w połowie oświetlony, w którym aniołek oparty na kręgu z wyciągniętym za sobą korpusem, patrzy na widza jakby unosił się w powietrznej przestrzeni. Od niego to a raczej z jego otoczenia bije blask oświetlający całą postać, który zmniejszając się stopniowo w swem natężeniu, dochodzi wreszcie do prawej ręki niewiasty i tam już niknie zupełnie.

Co to wszystko ma oznaczać, łatwo odgadnąć.

Postać niewieścia to myśl ludzka unosząca się w nieskończoności. Napróżno badając wśród gwiazd tajemnice niepojętej wielkości, przejęta ich cudownością, marzy spływając ku ziemi. A marzenia to piękne, rozwaga wzniosła, bo na licach niewiasty znać spokój i wielkie zamyślenie zarazem, znać, że choć zbliża się ku ziemi, ale myślą jeszcze błąka się wśród nieskończoności, że domyśla się a może i widziała Tego, co wszystkiemu dał początek. Sprawy ziemskie nic ją nie obchodzą, nic nie widzi i nie słyszy i zdaje się nawet nie czuć ciała które ją obleka.

Co do aniołka, z dziecinnej jego buzi widnieje jakby ciekawość, co widz myśli o wykonaniu tej fantastycznej treści.

Oto wrażenie jakie wywołuje oglądanie obrazu p. Zientarskiego.

Nie mówiąc już o konieczności uwydatnienia głównej treści w obliczu unoszącej się niewiasty, samo odróżnienie od tła ciemnej nocy wiotkiej zasłony, także czarnej, unoszącej się nad jej głową, odznaczenie ciała pod jej welonem, a włosów głowy na czarnem tle nocy, stopniowanie światła, wszystko to było bardzo trudnem i wymagającem wielkiej umiejętności technicznej. Nad szczegółami w wykonaniu nie będę się zastanawiał: rzecz to artystów z powołania. Szło mi tu jedynie o przedstawienie wrażenia jakie obraz obudza, który po dłuższem w niego wpatrywaniu, przedstawia się coraz więcej zajmującym. Szkoda tylko, że za małe oświetlenie utrudza rozpatrzenie dokładne najważniejszej jego części, twarzy samej niewiasty. Trzeba długo patrzeć i patrzeć, co nudzi niemiłosiernie, aby twarz ta wyszła na jaw i mogła być należycie widzianą. Niekażdy chce to zrobić, bardzo też być może, że to jest główna przyczyna zbyt surowego sądu pracy p. Zientarskiego. *G.*

---

## RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Przed parą miesiącami *jeden ze studentów* uniwersytetu p. K. otrzymał przed kilku dniami propozycyę udzielania lekcyi dwom synom pewnego kolonisty włościanina we wsi pod Warszawą.

Student wobec nader korzystnych warunków przyjął propozycyę i codziennie między 3-cią a 4-tą po południu, za mostem na Pradze, oczekuje na p. K. bryczka, którą powozi ojciec jego uczniów.

Lekcya trwa dwie godziny i p. K. zwykle przed 8-mą jest już z powrotem.

Za to pobiera 30 rs. miesięcznie, ma zarazem satysfakcyą uczenia zdolnych i pojętnych chłopców.

Starszy liczy już 15 lat, a jego brat jest o rok młodszy.

Obaj ukończyli szkołę elementarną, lecz ojciec ich pragnie aby się wyżej kształcili, wprawdzie bez systemu szkolnego, chce bowiem utrzymać chłopców przy roli, nie życząc sobie nawet zmiany siermięgi na surdut.

Nauczyciel więc udziela malcom lekcye w zakresie arytmetyki, nauk przrodzonych, historyi, geografii i t. p., celem ogólnego średniego ukształcenia umysłów chłopców.

Ojciec, mówiąc nawiasem, jeden z najzamożniejszych kolonistów, nie żałuje na książki i wszelką pomoc naukową.

Rozsądny to widać bardzo człowiek, kiedy pojmując wartość nauki zna jej granice dokąd jest konieczną i szanując stan swój choć dość lekceważony, dziatki własne chce w nim utrzymać. Klasa tak zwana inteligentna rzecz tę zupełnie inaczej pojmuje, w przedmiocie tym wkrótce rozpiszemy się obszerniej.

**W jednym z kościołów warszawskich** w zeszłym miesiącu zapowiedziany był ślub czeladnika szewckiego z córką wdowy utrzymującej magle.

Zamierzone to małżeństwo w przeddzień ślubu, zostało przez matkę narzeczonej zerwane, gdyż dowiedziała się iż przyszły zięć jest synem kościarki.

Pani maglarka, wyraziwszy swoje oburzenie jak można ją było przez tak długi czas o tem nie zawiadomić, postawiła nieodwołalne swoje *veto*.

— Niechby była żebraczką, wolałabym, aniżeli kościarką, to *podłe* zajęcie—zakonkludowała arystokratyczna maglarka.

Nie pomogły perswazye córki, krewnych, wreszcie prośby młodzieńca, nieubłagana jejmość odmówiła zezwolenia i małżeństwo zostało zerwane.

I dziwić się tu pysze rodowej prawdziwej arystokracyi, herbowej od kilku dziesiątków pokoleń!

**Urządzanie plantacyj drzew owocowych** na polach, tak jak się to praktykuje w Czechach i Morawii, u nas jest nowością zasługującą na rozpowtzechnie.

Dotychczas było wiadomem o jednym tylko p. Kurtzu, właścicielu Otwocka, który z tych plantacyi urządzonych na wielką skalę, ciągnie pewne korzyści, nie uszczuplając sobie dochodu z roli.

Obecnie dowiadujemy się o drugim ziemianinie, p. Wojciechowskim, który we wsi Malewice, z tej strony Bugu, w Lubelskiem, oddawna zadrzewia znaczne przestrzenie drzewami owocowemi, przeważnie jabłkami i gruszkami.

Nie doznając żadnego uszczerbku w dochodach rolnych, p. W. w r. z. wziął za owoc 1,500 rs., a w obecnym, pomimo nieurodzaju, spodziewa się osiągnąć przynajmniej 1,000 rs.

Plantacye więc drzew owocowych na polach winny zwrócić uwagę ogółu naszych rolników.

**Przed kilku tygodniami** w izdebce na poddaszu, w jednym z domów przedmieścia Pragi, w pobliżu rogatek Grochowskich, zmarł 80-letni starzec A. G. którego życie obfitowało w najrozmaitsze przygody.

Człowiek ten przed laty 30-tu był milionerem, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, a skończył prawie jak żebrak, gdyż na starość, lubo pod kościołem i na ulicy nie wyciągał do przechodniów ręki, otrzymywał od kilku osób stałe wsparcie, pozwalające zaledwie na utrzymanie nędznego życia.

Młodzieńcze lata przepędził w mierności, zajmując skromną posadę w jednej z tutejszych dekasteryj sądowych.

Niespodziany spadek po jakimś krewnym dał G. odrazu krociową fortunę. Majątek olśnił młodzieńca, który porzuciwszy posadę, wpadł odrazu w wir szalonego i zbytkownego życia.

Warszawa jednak była dla G. zamałem polem, udał się więc zagranicę i tam szalał dopóty, dopóki nie stracił spadku co do grosza.

Po kilku latach zniknięcia z horyzontu zamożnego i zbytkownego świata, G. znów się pojawił, sypiąc pieniędzmi na wszystkie strony. Mówiono, z czem zresztą G. się nie taił, iż wygrał znaczną sumę w Baden-Baden i Hamburgu, stawiając na kartę jakieś resztki oszczędzonej, czy też podarowanej mu przez kogoś sumy.

Szczęśliwy gracz został naprawdę milionerem i nabył jeden z większych majątków pod Warszawą.

Zdawało się wszystkim, iż G. z wiekiem ustatkował się i doszedłszy znów do zamożności, dzięki kapryśnej fortunie, potrafi się od nowych szaleństw powstrzymać.

Rzeczywiście przez kilka lat G., ożeniwszy się z córką jednego z bardziej znanych podówczas przemysłowców, prowadził cichy żywot, a nawet począł ujawniać pewną działalność na polu pracy obywatelskiej.

Trwało to jednak dość krótko, gdyż niepoprawny marnotrawca, któremu pieniądze tak łatwo przychodziły, nie mógł usiedzieć spokojnie.

Wyjechawszy zagranicę, pod pozorem kuracyi, zabłądził znów do którejś z jaskiń, zwanych domami gry i tam zostawił cały majątek.

Żona ze zmartwienia zmarła, a G. po wielu latach włóczęgi zagranicą, pełnej przygód, wynędzniały i chory powrócił do kraju.

Rodzina żony z litości utrzymywała go do końca życia.

Zdrowie w tym człowieku było rzeczywiście niespożyte, kiedy po tak burzliwie spędzonym żywocie doczekał się 80-ciu lat wieku.

**Wachlarz—wiązanka aforyzmów.** Kobieta, dla której jesteś obojętny, powierzy ci wachlarz z zastrzeżeniem: „tylko proszę mi go nie połamać!"

Kokietująca cię—będzie tak manewrowała, aby jej wachlarz jak najdłużej pozostawał w twoich rękach; w skrytości ducha atoli ucieszy się, gdy go oddasz w całości.

Tylko wachlarz kobiety kochającej możesz bezkarnie uszkodzić, zdruzgotać nawet—albowiem zawsze możesz jej wytłomaczyć, żeś to uczynił w namiętnem uniesieniu.

Nigdy nie dowierzaj uczynności kobiety: gdy chłodzi mężczyznę powiewem wachlarza, wie dobrze, iż ta filantropia wręcz przeciwny odniesie skutek.

Piękne panie lubią mieć całe kolekcye wachlarzy, aby do każdego z nich dorabiać potem suknię.

Myli się, kto sądzi, iż wachlarz jest parawanikiem *en miniature*.

Przeciwnie—złożony—wskazywać będzie właśnie to, co szczególniejszą zwrócić ma uwagę.

Niech właścicielka wachlarza ma zgrabne usteczka, niezawodnie—od niechcenia—często nim będzie ust dotykać; niech ma ładną rączkę, będzie nim uderzała po niej.

Kobiety, jeżeli nie serce, to charakter poznać można—ze sposobu używania wachlarza.

Przy wyjściu z balu ileż to żon wpierw pyta: „gdzież mój wachlarz?", a potem dopiero: „gdzież mój mąż?"...

Gdy kobieta pozwoli ci rozmawiać ze sobą za wachlarzem—mów tak, jakbyś się już w jej buduarze znajdował.

Gdy chcą się pozbyć twego towarzystwa—każą ci szukać wachlarza tam właśnie, gdzie go nie zostawiły.

Nie należy nigdy rozmawiać z jedną damą, bawiąc się wachlarzem drugiej.

**Szalona odwaga.** William Kendall, z Bostonu, niegdyś policyant, który odważył się na przepłynięcie wodospadu Niagary, szczęśliwie dokonał swego przedsięwzięcia i nie utonął, jak początkowo mylnie dzienniki nowojorskie doniosły.

Przepasany tylko zwykłym pasem ratunkowym, przepłynęł do połowy rzeki. Pochwycony wirem, odrzucony został najprzód w tył, a następnie prądem uniesiony naprzód, przybrał pozycyę pionową. Pierwsze uderzenie bałwanu zanurzyło go zupełnie na chwilę, potem ukazały się tylko ręce poruszające się jak u pływaka, kiedy silny napór wyrzucił go znowu w górę znacznie po nad poziom wody.

Wtedy rozpoczęła się jego walka pomiędzy życiem a śmiercią.

Bałwany ciskały nim to na jedną to na drugą stronę, trzymając go prawie ciągle pod wodą, a raz wyrzuciły go z jakie 10 stóp po nad wodę. Poczem zniknął znowu na jedną minutę pod wodą i dopiero o jakie paręset metrów dalej ukazał się oczom widzom.

Wszyscy mieli go już za nieżywego.

Po kilku minutach dostał się znowu w wir, zniknął pod wodą znowu ukazał się o jakie sto stóp dalej.

W dwie minuty później, ujrzano go ku powszechnemu zdziwieniu żywym, płynącym ku wybrzeżu Kanadyjskiemu. W dziesięć minut dotarł do skały, przyczepił się do tejże, ale nie miał już siły. Dopiero przy pomocy kilku ludzi, wydobyto go na brzeg.

Zaprowadzono go do hotelu, gdzie po napiciu się trochę wódki, przyszedł do siebie. Lekarze po dokładnem zbadaniu orzekli, że nie doznał żadnego wewnętrznego uszkodzenia i jedynie tylko plamy czarne i sine ma po całem ciele.

Kendall przyznał się, że szalony ten wyskok, przyniósł mu 2,000 dolarów, ale „że nie ma tyle pieniędzy na całym świecie, aby go można skłonić za nie do powtórnej podobnej próby."

**U nas realizm** w literaturze, poprzestaje na obrazowaniu okrucieństw posuniętych do obrzydliwości które czytając czuje się jak z przerażenia mrowie przechodzi po skórze, oczy stoją słupem, serce gwałtowniej uderza a w oddechu czuć brak powietrza. Im mocniejsze są wrażenia ztąd otrzymywane, tem utwór lepiej się podoba zachwyt nawet obudzając. Babranie to w błocku zbrodni ludzkich, na obczyznie przechodzi już w śmieszność i przesada prawie rozwesela.

**Niedawno w Paryżu** wydany ostatni utwór Ludwiki Michel p. t. *Ludzkie mikroby*, jest nadzwyczaj... ciekawą powieścią. Zaczyna się ona w brudnej knajpie studenckiej, pomiędzy ludźmi wywleczonymi ze śmiecisk przedmiejskich. Wśród wrzawy i bałasu gaśnie lampa. W chwili tej wsypuje jakiś „filister" do szklanki jednego z obecnych truciznę i ucieka. Podejrzenie pada na młodego dziennikarza Juliusza, którego sądy skazują na śmierć. Juliusz jednak ucieka z więzienia zabypnotyzowawszy swojego stróża. Prawdziwy zbrodniarz gospodaruje tymczasem dalej. Uwodzi maleńkie dziewczątka i rzuca je następnie do pożarcia olbrzymiemu psu. Zbrodniarz ginie przez kota, który mu wydrapał oczy. Ma to być obraz współczesnego społeczeństwa francuzkiego, jak twierdzi „czerwona" Ludwika.

**Najnowszą pasyą** Amerykanek są... aligatory. Chwytane w bagnach południa młode aligatory wysyłane są do Nowego-Yorku, gdzie sprzedawane bywają po 1—2 dolarów. *New-York World* donosi, że aligator jednej ze znanych mieszkanek Lexinton Avenue ma 14-cie cali długości; nosi srebrną obrożę i prowadzony na sznurku, posłuszny jak piesek, czołga się po ulicy za panią swoją.

---

## Z dziedziny humorystycznej.

Jednym z większych humorystów zakulisowych, w teatrze warszawskim, był niegdyś Zieliński artysta i reżyser zarazem. Jak dziś jest z porządkiem teatralnym nie wiem, ale w owym czasie za Zielińskiego, reżyser był prawie wszystkiem i wszystko jego dotyczyło. Raz wielce zakłopotany chodził po środku sceny, radząc z maszynistą o polepszeniu wystawy jaskini w czarodziejskiej operze Webera p. t. Wolny strzelec. Koncept jakoś nie przychodził, każdy pomysł po rozwadze i zastanowieniu, kończył się oddaniem go psu na budę! a o nowy coraz było trudniej. Zieliński też był niehumorny, co pomyślał, to skrzywił się szepcząc:

— A bodaj cię kaczki zdeptały! Bodaj cię gęś kopła! A niechże cię milion fur beczek!

Wtem staje przed nim młoda dziewczyna, służąca od którejś z artystek i ukłoniwszy się z gracyą i szykiem mówi z wielkiem ugrzecznieniem:

— Moja pani kłania się pięknie panu reżyserowi i zapytuje, kiedy będzie próba?

— Jutro, moja ładna bestyjko, o dziesiątej rano. Jutro, jutro.

— Dziękuję — odpowiedziała dziewczyna dygając, oswojona ze stylem artysty.

— Idź z panem Bogiem — mówi Zieliński, a ciszej dodaje — do dyabła!

— Dziękuję! — z nowym dygiem i tłumionym chichotem odpowiada dziewczyna, Zieliński kiwnął głową i zwrócił się w prawo.

Przy kulisie stał jakiś buńdziucznej postawy mężczyzna z wąsami jak u suma, patrzący w reżysera jak w tęczę.

— A ty co chcesz, wąsaczu?

— A to ja Głodziński, względem przyjęcia do teatru, co to wczoraj byłem tutaj z rekomendacyi ..

— A! bardzo dobrze, będziesz przyjęty, ale przedewszystkiem maszeruj do domu i ogól sobie wąsy.

Wąsacz troszkę skrzywił się jakby go zanudziło i frasobliwie podrapał się w głowę.

— Cóż to, żal ci twoich mioteł? — zapytuje Zieliński.

— A tak, panie, żal mi, dwanaście lat trzymam je pod nosem i tak nawykłem...

— Głupi jesteś, mój bracie. Własne wąsy prędko naprzykrzą się bo zawsze jedne, a teatralne nigdy bo codzień inne, małe, duże, czarne, jasne, gładkie, podkręcone, obwisłe, według gustu i potrzeby...

— Gdyby jednak — z westchnieniem mruknął nowicyusz, ale mu zaraz przerwał Zieliński.

— Nie nudź i ruszaj w świat, bo w teatrze nie ma żartów, kulą w łeb i w rekruty. Rozumiesz? Ja miałem wąsy nie chwaląc się, nie takie głupie jak twoje, bo do bioder mi spadały, a jednak dyabli je wzięli i dziś mam pysk jak kolano.

Wąsacz odchodzi z miną delikwenta na głód skazanego. A wtem...

— Kiedy próba, panie reżyszerze? — dochodzi głos z lewej strony. Z tyłu to samo brzmi zapytanie, z przodu zachodzi znów jakaś służebna i także z ukłonem pyta o termin próby. Zieliński zwraca się to tu, to tam, wszędzie jedną udziela odpowiedź, że jutro o dziesiątej rano, ale już coraz żywiej i głośniej, coraz niecierpliwiej, na podziękowanie odwraca się, zaczyna gniewnie sapać i dziesiątą zapytującą go, żegna szorstko:

— Idź do dyabła!—ale już bez dodatków: piękna bestyjko lub poczwarko, czego czynić nigdy nie zaniedbywał.

Ale przychodzi jeszcze jedenasta z jednem zapytaniem o termin próby. Zieliński traci cierpliwość, wykrzywia się, przedrzeźnia, głos podnosi i wreszcie dwunastej krzyczy.

— Ah! ty dyablico, powiedz swej dyablicy, że jutro o dziesiątej rano. Rozumiesz? O dziesiątej, o dziesiątej, synogarlico z Łysej góry!

— Dziękuję.

— Idź do stu lucyperów! — wrzeszczy Zieliński i kiedy chce wejść w kulisę, nagle zastępuje mu nowa znów służąca i z jednym ceremoniałem dygów i słówek grzecznie ułożonych, zapytuje może już trzydziesty raz o termin próby.

— A niechże cię wszyscy dyabli wezmą razem i z próbą! — wrzeszczy Zieliński.

Dziewczyna dyga i uśmiecha się, Zieliński równym dygiem odpowiada i zapytuje z hukiem:

— I czegóż się kwiatku różany śmiejesz? Czegóż się śmiejesz?

Dziewczyna wybiega.

Zieliński zwraca się do stojącego w pobliżu jednego z figurantów i zapytuje głosem syczącym:

— Kamińsiu kochany, czego stoisz jak słup przy drodze?

— Ej! chciałem zapytać pana reżysera o jedną rzecz, ale dam pokój.

— A to dlaczego?

— Bo pan gniewny.

— Głupiś Kamińsiu, mój gniew to teatralny, jak pożar na scenie, co płomienie rzuca a nie parzy ani pali. Rozumiesz?

— Ha! kiedy tak, to proszę pana powiedzieć, co mamy z panem zrobić jak go dziś zabiją i pan spadnie z drzewa na podłogę?

Artysta ścisnął pięście i iskrzącym wzrokiem patrząc na figuranta, odrzekł:

— I ty po dwudziestu przedstawieniach jeszcze nie wiesz tego?

— Juźcić nie wiem, bo zawsze się pan gniewa.

— A gniewam, gniewam, bo jak mnie chwycisz ty i twoi towarzysze w swe pazury rysie, to mi się zdaje że drą ze mnie skórę.

— Ej! przecież pazurów nie mam — odpowiedział Kamiński, pokazując ręce z wyciągniętemi palcami, ale tu nie o pazury idzie tylko co z panem zrobić jak pana zabiją?

— A bodaj cię zgaga upiekła — krzyknął Zieliński — ty barania głowa z orlemi uszami. Jak mnie zabiją — mówi dalej z wielkim już gniewem — to mnie wynieście i rzućcie do stu tysięcy dyabłów a takiemi głupstwami nie kłopocz mi głowy.

Wieczorem nowy figurant przezwany Wąsaczem, ale już bez wąsów, stawił się jak mu polecono i meldując się rzekł:

— Jestem, panie reżyserze, według rozkazu.

— A ty co za jeden dyabli synu? — zapytuje Zieliński.

— A toć ja co pan nazwał mnie Wąsaczem, choć się nazywam Głodziński.

— A! to ty. Nie poznałem cię...

— Nic dziwnego — odpowiada ze smutnem westchnieniem Głodziński. — Po zgoleniu wąsów sam siebie w lustrze nie poznałem, bo wyglądam tak głupio jak bez nosa.

— Jeżeli ci mój bracie o nos idzie, to rzecz najmniejsza — odpowiada z powagą Zieliński. — Bogu dzięki mamy nosów w magazynie pełną furę różnego kalibru, od śpiczastych jak śpilka do pękatych jak dynia. Wybierz sobie tylko którego podług gustu a przyprawią ci go gratys. Rozumiesz?

— Juźcić rozumiem—potwierdza Głodziński, a czy dziś będę miał występ?

— A jakże, będziesz strzelcem w zielonej kurtce, w kapeluszu z piórem i dubeltówką na plecach. Fryzyer przylepi ci wąsy.

— Wąsy? To po cóż mi pan kazał własne zgolić?

— Cóż to, barania głowo, nie wiesz, że człek teatralny teatralne wąsy mieć powinien?

Wreszcie widowisko się rozpoczęło. Zieliński stoi za kulisami i pilnuje porządku.

Po drugiej stronie stoją strzelcy mający wejść za chwilę. Zieliński przygląda się a Głodziński nie ma jednego wąsa z prawej strony a z lewej sterczy jak wiecha na dachu do wycierania kominów.

— Głodzińsiu, wąsaczu! — przytłumionym głosem woła Zieliński przez scenę z kulisy do kulisy, bo na obejście już czasu nie było.

Wąsacz nie słyszy, gapi się, przerzuca oczami na wszystkie strony, a Zieliński daje znaki, psyka, głos wzmacnia, wreszcie klęka na kolano i wyciągając ręce woła:

— Głodziński, bodaj cię upieczono, gdzieś wąs jeden podział? Urwij drugi, urwij! bo jak ja ci go urwę to ze łbem razem.

Nowicyusz wreszcie dosłyszał nawoływania i już bez obu wąsów wyszedł na scenę.

W ostatnim akcie artysta zostaje niby zabity i wynosi go trzech strzelców z Kamińskim na czele.

— Kamińsiu! — woła Zieliński, mający głowę swą tuż przy uchu figuranta. — Dlaczego czosnkiem w nos mi dmuchasz i głowę trzymasz mi niżej jak nogi? Oh! żebym nie był zabity...

---

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*P. A. Freidorf w Piatyhorsku.* Nr 21 Tygodnika wyczerpany zupełnie, być jednak może, że w końcu roku znajdzie się u którego z kolporterów, przy odnawianiu zatem prenumeraty na rok przyszły prosimy o przypomnienie.

## PRZYJACIEL DZIECI

numer 40 wyszedł z druku i zawiera:

Pod wspólnem godłem. — Wiarą i pracą (wiersz). Gimnaziści na wakacyach (komedya). — Zachciało się Zosi kolczyków (drzeworyt). — Pogadanki z Nauczycielem. — Kościół św. Piotra (drzew.).— Książę i biedak. — Wspomnienie historyczne.— Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Szczerbek (wiersz). — Zgubione rękawiczki. — Jaś i koziołek (wiersz).—Guś. Myśli. — Z prawdziwych wydarzeń. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

---

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.



Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Сентября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

**Dodatek.**

## Opis do N-ru 39.

*(Dokończenie.)*

**N. 37.** Sukienka princesse, dla dziewczynki lat 6—8.

Plecy krajane są z naddaniem na fałdy, wzdłuż całych przodów dodany jest plastron z jednego boku zapinany na guziki, w górnej połowie przymarszczony w dolnej naszyty wolantami haftowanemi; naszycie guzików i pentelek z jedwabnego sznureczka wskazuje ryc. 37. Poniżej wcięcia stanu przewiązana szarfa jedwabna.

**N. 40.** Ubranie strojne wizytowe, dla młodej panienki.

Na blado niebieskiej jedwabnej sukni dana draperya i ubranie stanika z krepy tegoż koloru. Spódnica przysłonięta wolantem z niebieskiej gazy jedwabnej haftowanym kolorowemi jedwabiami. Tunika z prostych brytów, podpięta z prawego boku rozetami z wstążki podług ryc. 40. Stanik z tyłu zapinany, obciśnięty paskiem jedwabnym, pokryty jest krepą przymarszczoną na ramionach; półdługie rękawy zakończone bufą krepową, przewiązaną węzłem. Klamra przy pasku i szpilki złote we włosach, bukiecik róż przy staniku.

**N. 39 i 41.** Suknia z vêtement.

Odrobiona z materyi gładkiej i w paski i zdobna szeroką szarfą, na gładkiej materyi dane szerokie plisy haftowane kolorowo. Rycina 41 przedstawia suknię jedwabną której gładki naszyty plisami haftowanemi, stanik, tylne bryty i upięcie przednie dane z materyi w paski. Odpowiednio do przybrania sukni i stanik ma wstawione części deseniowe haftowane, jak to widać na ryc. 39 i 41 przody stanika są sznurowane, plecy mają środkiem wszyty materyał deseniowy.

## Opis do N-ru 40.

**N. 1.** Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój i plecy na arkuszu N. I, fig. 1—13.

Rycina 1 przedstawia ubranie jesienne spacerowe, które może być odrobione z cienkiego gładkiego sukienka lub szewiotu, bez żadnego przybrania, tylko z rzędami stębnówki w około brzegów. W N-rze 41 damy oddzielnie kamizelkę, dopełniającą stanik, krój takowej wskazuje fig. 1—3; plecy kamizelki krają się tylko z podszewki przody zaś dają z materyału gładkiego lub deseniowego, albo na osobę szczupłą mogą być bufiasto przymarszczone, jak to widzimy na ryc. 1. Plecy i boczki zszywają się tylko do B niżej zaś mają wstawiony klinik fig. 3. Przecięcie na kieszeń oznaczone linią prostą na fig. 1, oszyte jest pliską $^1/_2$ cent. szeroką i podszyte kieszonką 5 cent. głęboką. Formę stanika dopasowywa się podług odpowiednich liter na fig. 4—11; fig. 12 daje wymiar draperyi, linia kropkowana oznacza środek przodu, linia podwójna rozporek tylny. Górny brzeg draperyi wszyty w pasek zaczyna się fałdować od lewego boku i najpierw od 1 do 145 układa w kontrafałdę 14 cent. szeroką, która do wierzchu załamuje się siedm razy, pod spód tylko trzy razy. Dalej do 185 brzeg pozostawiony jest z przodu gładko, z tyłu zaś z prawej strony rozporka zeszywa od gwiazdki do gwiazdki i od dwukropka do dwukropka dwa luźno spuszczone pukle, między któremi zostający materyał od 225 do 272 i od 300—343 trzeba zmarszczyć. Lewa strona przy rozporku składa się w kontrafałdę podwójną ku przodowi, potrójną do tyłu. Rozchodzące się brzegi draperyi z boku, odsłaniają spódnicę zakończoną suto namarszczonym wolantem, z prawego boku draperyę fałduje się w odstępie 40 cent. od brzegu dolnego, podług znaczków idących ku gwiazdce w górze.

**N. 2.** Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 48—49.

Odpowiednio do spódnicy pokrytej długą, podpiętą draperyą z bronzowego szewiotu, krótkie okrycie uszyte jest także z ciemno granatowej etaminy, w bronzowy deseń i podszewkowane bronzowym aksamitem. Fig. 48 daje w zmniejszeniu formę okrycia; przody *a* oszyte wzdłuż brzegów aksamitem (podług linii cienkiej) podchodzą od krzyżyka do gwiazdki pod rękaw *b* zszyty z plecami *c*. Dolny brzeg rękawa podwija się podług linii kropkowanej i przyszywa do przodów przy dwukropku; przedni brzeg rękawa podszyty pliską aksamitną. Litera d na fig. 48 daje formę kapturka, który kraje się z etaminy i aksamitu, podkłada w środek sztywnym muślinem, wywija do wierzchu podług linii kropkowanej i łączy z okryciem przez wszycie w kołnierzyk stojący 5 cent. wysoki. Karczek u dołu pleców stanowi podwójnie złożony kawałek aksamitu, 11 cent. szeroki, 60 długi, ściśle zmarszczony w górze.

**N. 3—5 i 10—11.** Serweta z wyszyciem i robotą szydełkową. Deseń na arkuszu z krojami fig. 50.

Tło serwety ryc. 3, z szarego płótna liczy w kwadrat 106 cent. i ozdobione jest haftem i robotą szydełkową z piaskowej bawełny N. 30; jeden liść szydełkowy przedstawia ryc. 5 w naturalnej wielkości, przyszywa się do tła mocnemi szaremi nićmi, niewidocznemi ściegami, pod figurami szydełkowemi tło się wycina i podwrębia pod spód. Środek tła zdobi dziewięć takich figur wszytych ażurowo między haftem którego część w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 11, dalszy ciąg na fig. 50. Kontury haftu otacza nitka złota (skręcana z białą nitką); środki figur zapełnia filozela a kratki w liściach dane chińskim jedwabiem; ścieg skośnie krzyżowany wyszywa się podług ryc. 10. Rycina 4 przedstawia w dwóch trzecich naturalnej wielkości figurę szydełkową w kształcie liścia wszytą w tło serwety, zaczynającą się od 30 o. pow. z których 21 łączy się w kółko środkowe wyciągnięte podłużnie zaś 9 pozostałych oczek stanowi podstawę kielicha, obrobioną z obu stron oczkami ścisłemi dając na czubku trzy o. w jedno, 24 o. śc. zajmuje się za cały łańcuszek kółka, potem robić 35 o. pow. na drugie kółko większe, obrobione 44 o. śc. i złączone z kółkiem środkowem pręcikami z okręcanej nitki dodanemi igłą podług ryc. 4. W drugiem obrobieniu kółka daje się naprzemian 4 o. śc. 3 o. pow. na pikot; z brzegów liścia dane pięć ząbków po 16 o. pow. przyczepionych 1 o. śc. co drugi pikot kółka; ząbki te obrabiają się w podobny sposób jak drugie kółko. Jak to widać na ryc. 4 kielich dolny przy każdym rzędzie roboty obrabia się o. śc.

**N. 6.** Czepeczek z alzacką kokardą.

Podstawę czepeczka stanowi pasek sztywnego tiulu oszyty z brzegu koronką 8 cent. szeroką, wysuniętą na 4 cent. do przodu, z boków na 11 cent. wzdłuż ułożoną w kontrafałdy pojedyńcze, zaś na środku paska nad czołem w poczwórne. Denko dopasowane z gładkiego tiulu pokrywa 19 cent. szeroka koronka zszyta brzegami do środka; z takiej koronki ułożona alzacka kokarda z pukli 12 i 16 cent. długich. Przybranie dane z wstążki 3 cent. szerokiej (atłas z ottoman); końce krzyżują się na wierzchu denka.

**N. 7.** Kapotka z alzacką kokardą. Przód w N-rze 41.

Płaskie 9 cent. szerokie rondko pokryte aksamitem i podgarnirowane koronką jedwabną 10 c. szeroką, z boków wązko wysuniętą nad czołem widoczną. Kokardę alzacką z wstążki repsowej $8^1/_2$ c. szerokiej układa się podług ryc. 7 w dzisiejszym i w 41 N.

**N. 8—9.** Paski skórzane. Deseń patrz fig. 80—81.

Do staników bluzkowych używane są paski skórzane zapięte na sprzączkę lub klamrę ozdobną metalową, albo niewidocznie na wązki pasek dany od spodu. Rycina 8 przedstawia pasek safianowy podszyty złotawym atłasem, zdobny deseniem ździeranym, wskazanym na fig. 80—81; rycina 9 daje pasek z bronzowej skórki, 6 cent. szeroki.

**N. 12—16.** Przykrycie na stolik do szycia. Haft perski à jour.

Rycina 16 przedstawia przykrycie z żółtawej kanwy kongresowej 97 cent. długie, 45 szerokie, zakończone frendzlą 13 cent. długą, przedstawioną na ryc. 21 w N. 41. Do wyszycia użyty ponsowy i biały jedwab kordonkowy, złoty sznureczek i cieniutka złota nitka. Na ryc. 15 wskazujemy dokładnie wąziutki brzeżek ażurowy w którym złoty sznureczek przyszyty jest ponsowym jedwabiem, ściegami podłużnemi, z brzegów zaś dane ściegi poprzeczne przewiązujące po trzy nitki kanwy, jak to bieg strzałki objaśnia. Ząbki wyszyte prostemi ściegami, wpadające jedne w drugie mają brzeżne ściegi zajęte przez dwie nitki a środkowe stopniowo coraz wyższe przez 8 nitek. W węższym szlaczku zajmującym 24 nitek wzdłuż idą naprzemian kwadraty matowe i ażurowe, ściegi użyte w tych ostatnich wskazaliśmy oddzielnie na rycinie 13 i 14. Całe tło przykrycia zdobi wyszycie w kratkę widoczne na ryc. 12.

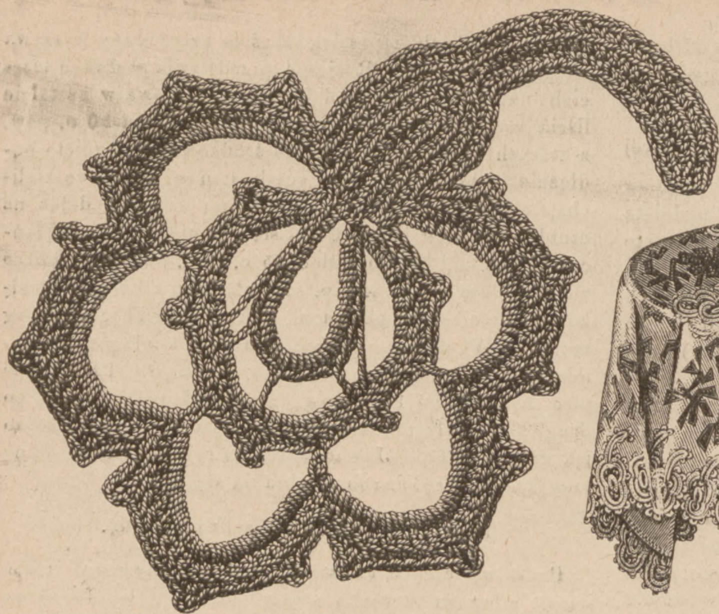


N. 1. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój i plecy na arkuszu N. I, fig. 1—13.

N. 2. Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem. Krój i przód na arkuszu N. VIII, fig. 48—49.

**N. 17—19.** Sukieneczka włóczkowa, szydełkową robotą.

Odpowiednia dla małego dziecka odrobiona jest z niebieskiej włóczki hamburskiej, z białem obrobieniem z angielskiej włóczki. Staniczek z tyłu zapinany robi się



N. 4. Liść robotą szydełkową, do ryc. 3.

rzędami słupków, tam i napowrót; na zaczęciu każdego rzędu robi się 3 o. pow. zamiast pierwszego słupka, wszystkie słupki zajmują się za tylne nitki oczek. Najlepiej wyciąć formę prostego stanika z papieru i przykładać do niej robotę. Skończony stanik obrabia się w około brzegów szydełkowemi ząbkami, wskazanemi na ryc. 19. Spódniczkę przyrabia się wprost do stanika, zaczynając robić w ząbki; 16 obrobień dane włóczką niebieską a 7 rzędów dolnych białą. Kokardy z wstążki atłasowej $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.



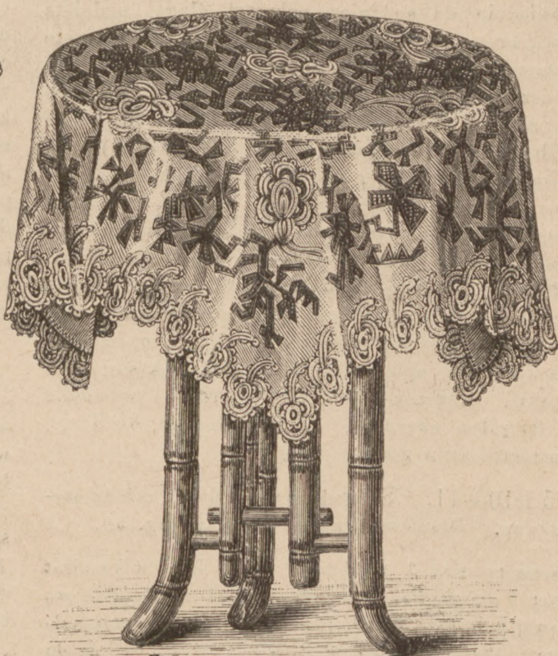
N. 6. Czepeczek z alzacką kokardą.

N. 20 i 26. Postumencik na doniczkę z kwiatami. Mozajka z szyszek.

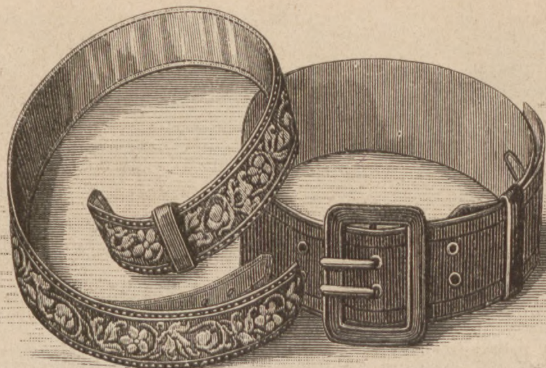
Rycina 26 przedstawia kształt postumencika z pręcików drewnianych, 18 cent. długich, oparty na czterech nóżkach, który pokrywa się mchem różnego cieniu, stanowiącym podstawę i tło pod mozajkę z szyszek leśnych olszowych, żołędzi i t. p. Mech przyszywa się zielonym jedwabiem do pręcików a mozajkę nakleja się klejem.

N. 21. Koszyczek do robót. Deseń patrz fig. 79.

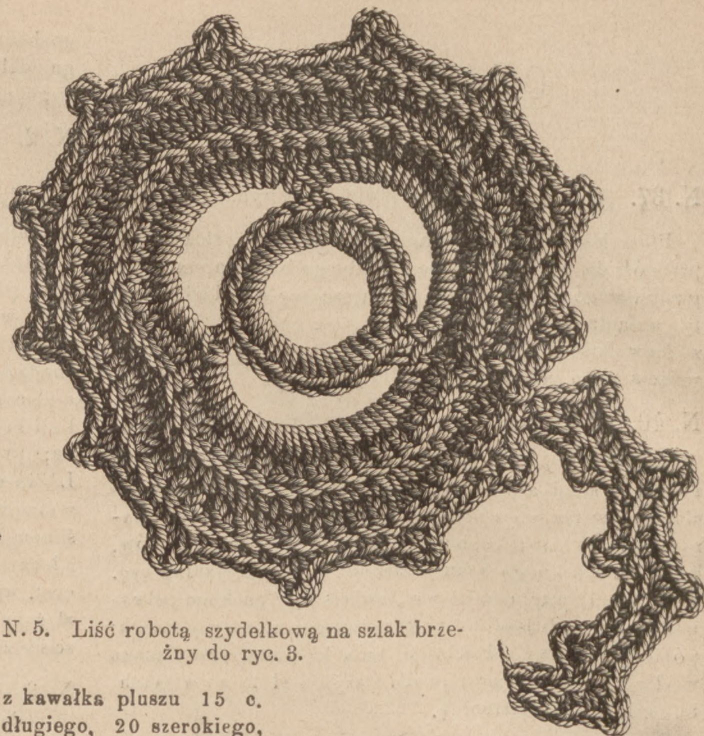
Pleciony z grubej słomki ma ścianki wyginane w oryginalny sposób; dno liczy w kwadrat 20 c., ścianki są 21 cent. wysokie. Pokrycie denka dane z ponsowego pluszu, przyklejonego gładko, boki koszyczka pokryte marszczonym atłasem z wierzchu oszyte są 2 cent. szeroką pliską pluszową, którą owinięty jest także pałączek 23 cent. wysoki, przewiązany atłasową kokardą. Z jednego boku koszyczka przyczepiona kieszonka z kawałka pluszu 15 c. długiego, 20 szerokiego, nawleczona w górze elastyką. Fig. 79 daje deseń haftu zdobiącego trzy pozostałe ścianki koszyczka; potrzeba najpierw wyciąć formę z żółtego kartonu, pokryć ją złotą kanwą a następnie odrobić deseń szenelą kolorową i sznureczkiem jedwabnym.



N. 3. Serweta zdobna wyszyciem i robotą szydełkową. Patrz ryc. 4—5 i 10—11. Deseń na arkuszu fig. 50.



N. 8—9. Paski skórzane. Deseń patrz fig. 80—81.



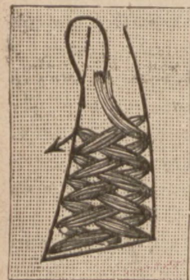
N. 5. Liść robotą szydełkową na szlak brzeżny do ryc. 3.

N. 22. Ubranie wizytowe.

Spódnica atłasowa naszyta jest falbankami koronkowemi, tunika zaś składa się naprzemian



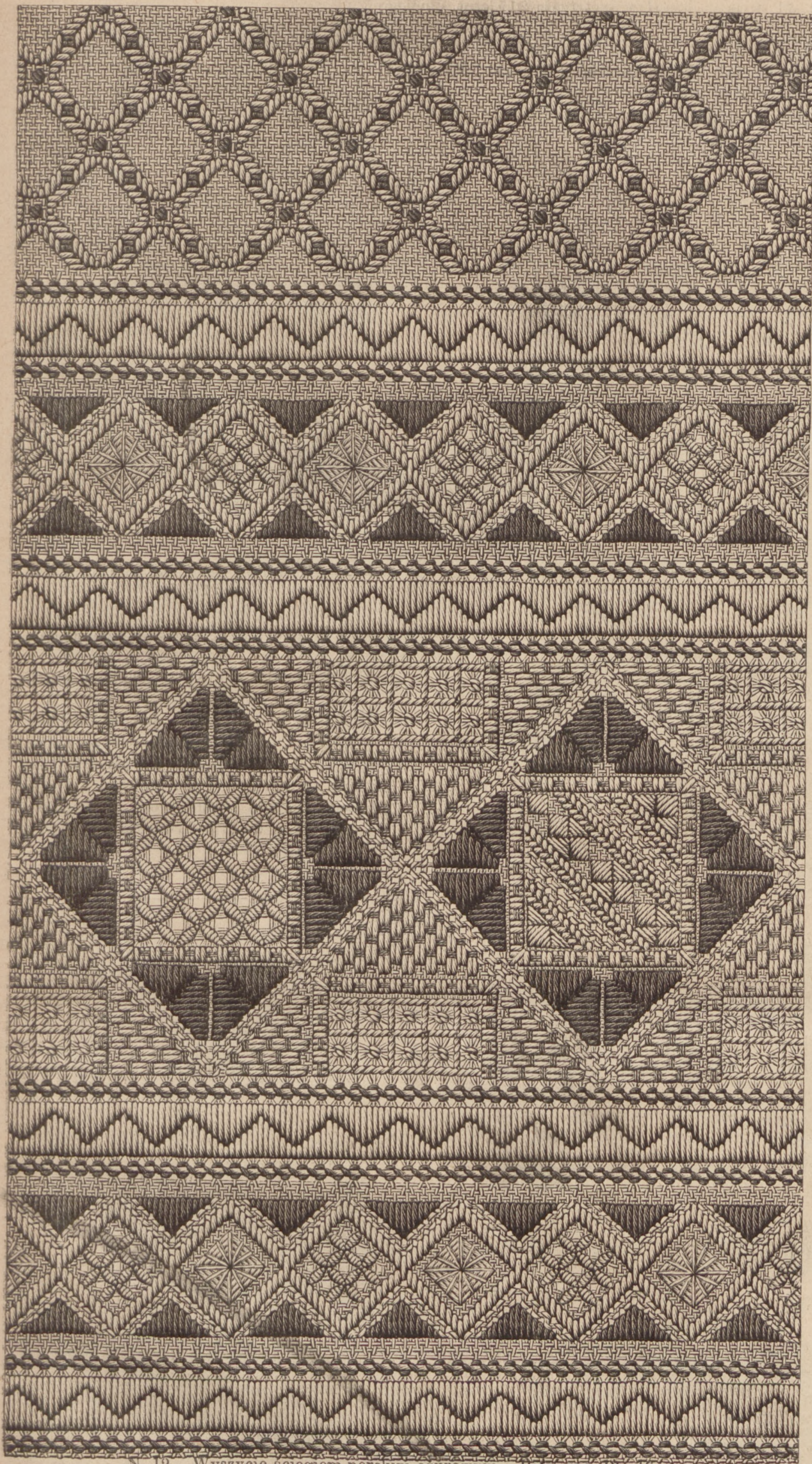
N. 7. Kapotka z alzacką kokardą.



N. 10. Wyszycie ściegiem skośnie krzyżowanym, do ryc. 11.



N. 11. Część haftu do serwety ryc. 3. Ścieg skośnie krzyżowany.

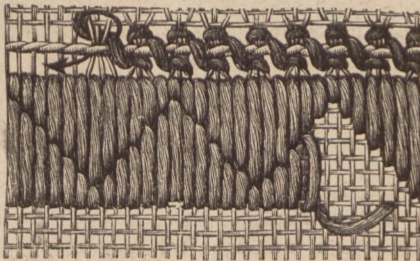


N. 12. Wyszycie ściegiem perskim ażurowym. Patrz ryc. 13—16.



N. 16. Przykrycie na stolik do szycia. Ścieg perski ażurowy patrz ryc. 12—15.

z pasów wstążki atłasowej koloru heliotropu i koronki crême i podpięta jest z jednego boku sutą kokardą z długich pukli i końców. Odpowiednio do tego krótki stanik do paska, uszyty z atłasu garnirowany jest rzędami koronki i zdobny kokardami; rękawki koronkowe bez podszewki.



N. 15. Wyszycie wązkiego szlaczka do r 12.

N. 23. Ubranie wizytowe z gładkiej i deseniowej materyi.

Przedni bryt sukni dany gładko z materyi jedwabnej białej w kolorowe gałązki chmielu, boczne i tylne bryty spódnicy zmarszczone w górze, stanik i szarfa są z gładkiej materyi. Stanik krótki z boków, bawetowo przedłużony z przodu, zapięty z boku na kryte haftki, ma kamizelkę marszczoną z białej illuzyi, przyciśniętą trzema jedwabnemi patkami danemi w ząb.

N. 24—25. Rękawiczki zdobne malowaniem.

Do ubrania wizytowego ciągle utrzymują się długie szwedzkie rękawiczki, które przyozdabiają w rozmaity sposób; ryc 24—25 przedstawiają rękawiczki z niefarbowanej skórki ozdobione malowaniem.

N. 13. Wyszycie ażurowe ściegiem skośnym, do ryc. 12.

N. 14. Wyszycie ściegiem perskim ażurowym do ryc. 12.

N. 27. Suknia zdobna haftem.

Odrobiona z bronzowego kaszmiru przybrana jest ciemno zielonym pluszem i szlakami haftowanemi ściegiem węgierskim łańcuszkowym jedwabiem zielonym. Ścieg ten opisywaliśmy już szczegółowo w N-rze 9 przy ryc. 11—12; deseń dany był na arkuszu z krojami do wyżej wskazanego N-ru Tygodnika pod fig. 40.

N. 28. Płaszczyk formą burnusa. Krój na arkuszu N. XV, fig. 78.

W przyszłym N-rze Tygodnika na ryc. 25 przedstawimy plecy płaszczyka danego dziś na ryc. 28, odrobionego z ciemnego wełnianego materyału; praktyczna ta forma nadaje się zarówno na płaszczyki jesienne do wyjścia na ulicę, jak na lżejsze do zarzucenia na ubranie wieczorowe. Fig. 78 wskazuje w małym formacie połowę formy; górny wypukły brzeg przymarszcza się w około szyi i wszywa w pasek 6 cent. szeroki. Z tyłu na wcięciu stanu, w miejscu oznaczonem krzyżykami i kropkami, złożone są fałdy widoczne na ryc. 25 w N-rze 41, od spodu podszywa się wstążkę do wiązania w pasie.

N. 17. Sukieneczka robotą szydełkową. Patrz ryc. 18—19.

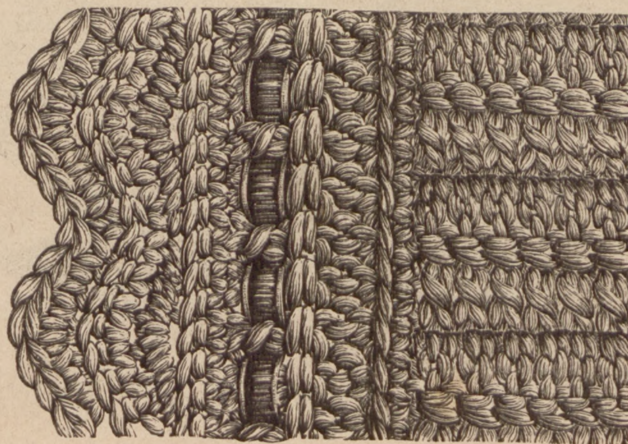
## Opis do N-ru 41.

N. 1 i 41. Sukienka dla dziewczynki lat 5—7. Krój na arkuszu N. V, fig. 36—41.

Rycina 1 przedstawia z przodu sukienkę z gładkiej wełnianej i jedwabnej materyi a ryc. 41 takąż sukienkę z materyału wełnianego gładkiego i w pasy; fig. 41 na arkuszu z krojami przedstawia tylne bryty spódnicy z lewej strony i wskazuje urządzenie turniury. Najpierw krają się przody i plecy stanika fig. 36 i 38 z podszewki i pokrywają materyałem zwierzchnim do linii cienkiej oznaczającej kwadratowy wykrój stanika, pokryty materyałem ażurowo haftowanym w maszynie. Na ramionach dodane jest podług linii skośno oznaczonej na formie, fałdowanie z kawałka materyału 9 cent. szerokiego, złożonego w cztery fałdki, po 2 cent. szerokie. Przyszycie fałdowania przykryte jest materyałem marszczonym od gwiazdki do gwiazdki i od dwukropka do dwukropka, pokrywającym przody i plecy, złączone z boczkiem fig. 37 od 15 do 16 i od 17 do 18. Na wcięciu stanu przody przemarszczone są na 5 plecy na 8 cent. szerokości; wzdłuż prawego przodu dodana listewka z dziurkami do zapinania na kryte guziczki. Kołnierzyk stojący 4 cent. szeroki, pokryty haftem; gładki rękaw fig. 39 dopełniony bufką podszytą od spodu (fig. 40), 36 cent. długą 7 c.



N. 18. Plecy do ryc. 17.



N. 19. Tło w prążki i ząbki szydełkowe do ryc. 17—18.



N. 20. Postumencik do doniczki. Mozajka leśna. Patrz ryc. 26.

szeroką, u dołu zmarszczoną i wszytą w mankiet 5 cent. szeroki. Spódniczka 145 cent. obwodu mająca, 30 c. długa, podszyta muślinem, ogarnirowana wolantem z materyału w pasy, układanym w kontrafałdy 10 cent. szerokie; górny brzeg spódniczki zmarszczony i wszyty w pasek 4 cent. szeroki podszywa się pod brzeg stanika. Upięcie w kształcie szarfy, z przodu zebrane w poprzeczne fałdy i podpięte kokardą podług ryc. 1, z tyłu tworzy pukiel 30 cent. długi i dwa równie

długie końce jak to widać na ryc. 41, wymsga kawałka materyału 215 cent. długiego a 50 szerokiego.

## N. 2—3 i 24. Chusteczki kolorcwe do nosa.

Rycina 2 przedstawia żółtawą fularową chusteczkę (35 cent. w kwadrat) w rzucik w ponsowe podkowy, odzierganą w ząbki z brzegów. Rycina 3 przedstawia chusteczkę w pasy niebieskie i poziomkowe, którą można zakończyć szerokim obrębem lub ozdobić hafcikiem wskazanym na ryc. 14.

## N 4. Ubranie żałobne.



N. 22. Ubranie wizytowe zdobne koronką i wstążką.

N. 23. Ubranie wizytowe z materyi gładkiej i deseniowej.



N. 21. Koszyczek do robót. Deseń na arkuszu fig. 79.



N. 24—25. Rękawiczki zdobne malowaniem.

Na gładkiej kaszmirowej spódnicy włożona tunika składająca się z pięciu brytów krepowych i czterech kaszmirowych po 50 cent. szerokich a 125 długich. Stanik z baskiną zapięty z boku na kryte haftki ma kamizelkę ułożoną z plis krepowych schodzących się w ząb do środka. Brzegi tuniki i stanika otoczone matowemi drewnianemi perłami. Kapotka z płaskiem rondkiem pokryta krepą ma na wierzchu upięty w dwie głębokie fałdy szeroki i długi woal krepowy, zakończony szerokim obrębem.

## N. 5 i 17—19. Opisy na arkuszu z krojami.

## N. 6. Sukieneczka dla dziecka lat 1—2.

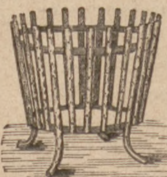
Uszyta z perkalu w pasy ponsowe, niebieskie i żółte, zakończona u dołu obrębem, zapina się z tyłu na guziki. Wykrój szyi zdobi wykład z tyłu prosty, z przodu w ząb wycięty; brzeg sukienki i rękawki podgarnirowane koronką.

*(D. n.)*

---



N. 27. Suknia zdobna haftem.



N. 26. Foremka drewniana do ryc. 20.



N. 28. Płaszczyk formą burnusa. Krój na arkuszu N. XV, fig. 78. Patrz ryc. 25 w N-rze 41.